Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI

Kuropatwy na śniegu. Z serji, nagrodzonej I nagr. i odznaczonej złotym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego" w 1935 r.

Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 1 (813

1 STYCZNIA 1936 R.



Pan Premjer Marjan Zyndram-Kościałkowski, Ambasador Francji p. L. Noël i dyr. Mickiewicz rozpatrują planik polowania w b. Komorze Cieszyńskiej.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU FOTOGRAFICZNEGO

Dnia 5 grudnia 1935 r. odbyło się posiedzenie Jury konkursu fotograficznego „Łowca Polskiego" w następującym składzie: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, H. Knothe, J. Kobylański, St. Koszutowski, M. Mniszek-Tchorznicki, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, W. Szperling i Wł. Zabiełło. Ponadto obecny był, jako doradca fachowo-zawodowy, artysta-fotograf J. Kasprzycki.

W konkursie wzięły udział 32 osoby, które nadesłały ogółem 203 fotografje.

Nagrody i odznaczenia honorowe przyznano:

1) **Godło „Kos" — 25 fotografij — I nagrodę 150 zł. i złoty żeton za serję otrzymał Włodzimierz Puchalski, Lwów.**
2) **„ „Białoruś" — 33 fot. — II nagr. 100 zł. i złoty żeton za serję—Władysław Wysocki, Warszawa.**
3) **„ „Łowca" — 10 fot. — III nagr. 50 zł. i złoty żeton za serję — Jan Bończa-Markowski, Pionki.**
4) **„ „Serja 14" — 14 fot. — IV nagr. roczną prenumeratę „Łowca Polskiego" i srebrny żeton za serję — Andrzej Dobrski, Mańkiewicze.**
5) **„ „Świat" — 11 fot. — IV nagr. roczną pren. „Łowca Polskiego" i złoty żeton za fotografję „Łoś" otrzymał Olgierd Ślizień, Dziewiątkowicze.**
6) **„ „Robak" — 3 fot. — IV nagr. roczną pren. „Łowca Polskiego" za fotografję „Przebiegający dzik" — Zofja hr. Zamoyska, Warszawa.**
7) **„ „Lustrzanka" — 6 fot. — V nagr. półroczną pren. „Łowca Polskiego" i srebrny żeton za serję — Antoni Wiśniewski, Racot.**
8) **„ „Meles Taxus" — 4 fot. — V nagr. półroczną pren. „Łowca Polskiego" i bronzowy żeton za serję — Antoni Wiśniewski, Racot.**
9) **„ „Teodor" — 5 fot. — V nagr. półroczną pren. „Łowca Polskiego" za serję — Teodor Sroczyński, Dębina.**
10) **„ „Ejot" — 4 fot. — srebrny żeton za fotografję „W parku hodowcy" — Edmund Dąbrowa-Januszewski, Gniezno.**
11) **„ „K" — 22 fot. — bronzowy żeton za serję — Robert Eisenbraun, Łódź.**
12) **„ „Wieruszyn" — 8 fot. — bronzowy żeton za serję — Stefan Sochocki, Warszawa.**
13) **„ „Łasica" — 3 fot. — bronzowy żeton za serję — Antoni Wiśniewski, Racot.**
14) **„ „Borsuk" — 9 fot. — bronzowy żeton za serję — Konstanty Komierowski, Korzeniste.**
15) **„ „Sęp" — 3 fot. — bronzowy żeton za serję — Stanisław Łazarewicz, Horodenka.**

MŁODYM KU PRZESTRODZE.

Nie kusząc się bynajmniej o filozoficzne ujęcie rzeczy, zaryzykowałbym na wstępie twierdzenie, iż życie ludzkie nabiera tylko wówczas wartości i specjalnego uroku, gdy służy jakiejś pasji szczególnej, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Może nią być badanie naukowe lub sztuka, niekiedy sama praca zawodowa, albo — najczęściej — obok niej istniejące jakieś wielkie zamiłowania, np. pasja myśliwska.

Zaczyna się to zwykle od pewnych wakacyj, spędzonych na wsi u rodziców lub krewnych, po całorocznem wkuwaniu wszelakich „sciencyj", gdy młody, bo już nieraz 9-cio letni chłopak zdobędzie po raz pierwszy w życiu małokalibrowy flower.

„Kto z nas tych lat nie pomni, gdy jako młode pacholę ze strzelbą na ramieniu, świszcząc, szedł sobie w pole"...

Wtedy to wszystko niemal, co się rusza, lata, biega, tak w lesie, jak i na łące, na gumnie i podwórzu, w sadzie i na rzece, jest, zdaniem młodziutkiego nemroda, godne strzału.

A więc najpierw strzela on do różnych motyli... Później do żab na wodzie... Szare, zielone i rude, wielkie i małe płazy „rulują" w ogniu, wywracając ku wielkiej uciesze zapaleńca swe jasne podbrzusza.



Minister Czesław Michałowski podczas swego pobytu w Schorfheide.

Nie uchodzą też cało i przemądrzałe wróble, które, nabrawszy szybko doświadczenia, uciekają w bezpieczniejsze zakątki już na sam widok małego strzelca, jednak obowiązkowo krwawą ofiarę w dani złożyć mu muszą, pospołu z szeregiem innych śpiewających ptaków, lub jakże pożytecznych szpaków i dzięciołów... Z wronami i srokami szło trudniej, bo niełatwo podejść się dawały.

— Czy wiesz, Jasiu, jak się nazywa twoja ofiara? — zapytał ktoś raz młodego chłopca, podnosząc równocześnie zabitego ptaszka.

— Muchówka, panie — odpowiedział pewnie i rezolutnie, ku niemałemu zadziwieniu starszego pana.

— Więc dlaczego strzelałeś do tak pożytecznej ptaszyny?

— Bo... — widać było pewne zakłopotanie — bo ciekaw byłem, czy trafię...

„Ten mały ma pasję", trzeba było przyznać sprawiedliwie.

*

17-ty rok życia. Bywało, za dobre świadectwo dawał ojciec strzelbę w upominku. Własna strzelba!... Do dziś czuję wzruszenie, wspominając tę chwilę, gdy raz po obiedzie weszliśmy wszyscy do salonu... i zanim się zorjentowałem — szedłem na samym końcu domowników — poczułem w rękach dużą, zdawało się, zbyt ciężką strzelbę — pojedynkę. Jakiś uśmiech na ojcowej twarzy i słowa, jakby bez związku: o pasowaniu na rycerza, św. Hubert niech prowadzi, niechaj darzy, i coś tam jeszcze... A tu strzelba pali się w ręku, a serce rozpiera pragnienie: wybiedz za wszelką cenę czemprędzej i złożyć się, raz się złożyć!...

Dotąd nie pamiętam, jak to się stało, że znalazłem się pod jakąś starą sosną w parku, na której odpoczywały przed odlotem bociany.

Zobaczyłem jednego i w gorączce zmierzyłem do niego. Strzał... Spadło ich kilka!... Reszta, ze trzydzieści, odleciało w popłochu. Pamięć owego strzału nigdy w życiu więcej nie pozwoliła mi złożyć się do tego uprzywilejowanego ptaka.

Pomnę, jak trudno przychodziło nieraz ukrócić żywiołową ochotę, by nie wypalić np. do kaczki — starki z młodemi, gdy czatującemu w oczeretach pokazała się na smudze wśród sitowia, albo do kupy podrywających się kuropatw. Spadło ich dwie, trzy i więcej, a nawet wyrzutów sumienia nie odczuwało się wówczas.

Mówiono wtedy powszechnie, że, polując na kuropatwy, powinno się odstrzelić najpierw starego koguta, tego, który zazwyczaj pierwszy z wrzaskiem się zrywa. Później — to już wszystkie inne, jak w torbie, łatwo można je wybić... I tak się, niestety, robiło, bo z wysoką etyką łowiecką nie miałem jeszcze styczności. Dzisiaj przedewszystkiem koguty i starki oszczędzamy, wiedząc dobrze o tem, że te, jako ptaki doświadczone, niedobitki ze stada ocalą i później je przez niebezpieczeństwa zimy szczęśliwie przeprowadzą.

Jakiś prainstynkt, wyzwolony z najgłębszych czeluści duszy, jakaś niepohamowana zapalczywość łowiecka i nienasycona żądza strzelania wraz z młodzieńczym, nieokiełznanym temperamentem, stwarzały nieraz sytuacje wręcz zbójeckie, kłusownicze... By nie zostać w tyle za towarzyszem, który ubił na wieczornej zasiadce kozła, strzela młody zapaleniec do kozy, to znów do jarząbka na gałęzi nad głową, albo do siadającego na linji zająca. Wszystko to w młodych latach uważa się za drobnostkę, niegodną zastanowienia.

Jak w kalejdoskopie, przesuwają się teraz tak żywo przed oczyma mej duszy wszystkie te grzeszne momenty, których się wstydzę i do których przyznaję głęboko skruszony. Niechaj młodzi myśliwi, którzy z zapałem wkraczają w szranki rycerskiej areny myśliwskiej, a na których nam, starym, jako na naszych następcach, tak bardzo zależy, czerpią z tej spowiedzi pożyteczną dla siebie naukę, by wiedzieli, co dobre w myślistwie, a co złe, co etyczne, a co godne potępienia, co można, a czego wystrzegać się potrzeba, aby polskie łowiectwo, w ich przechodząc ręce, rozwijało się pomyślnie dalej i kwitło... Niechaj wiedzą także, że i starsi ciężko nieraz grzeszą i, jeśli zajdzie potrzeba, niech ich hamują lub zawstydzają.

A trzeba wiedzieć, iż wiek młody, tak często z prawem kolidujący, nie uznaje też z zasady karty na broń. Często bywało, zjadł młodzieniec dużą porcję strachu, kiedy, błądząc ze strzelbą, spostrzegł gdzieś na horyzoncie czerniejące kogucie pióro żandarma. Wtedy jedyny ratunek stanowiła ucieczka na „zbity łeb" przez krzaki i manowce, w poszukiwaniu kryjówki, choćby ją znaleźć przyszło w jakiejś chatce samotnej, gdzie znowu inne zgoła kryć się mogło niebezpieczeństwo w postaci... młodej „czarownicy", modrookiej dziewczyny. Litowała się ona niedoli płochego strzelca i chroniła przed władzą, pakując go do swego tapczana, a strzelbę pośpiesznie wynosząc na strych, w siano... Różnie się zdarzało... W wakacyjnej włóczędze o przygody nie trudno...

Mija temu lat trzydzieści pięć. Sprawiłem sobie za własne pieniądze dobrą dubeltówkę, wykupiłem oba dokumenty myśliwskie i zacząłem polowanie w sposób prawidłowy, zgodny z zasadami etyki i moralności łowieckiej.

Cudzy teren był dla mnie, jak zresztą zawsze, święty, czasy ochronne również. Zając w kopnie, kaczka z kaczętami, koza w lesie, a nawet i rogacz mało ostrożny, nie przedstawiały dla mnie zwierzyny, godnej strzału. Do kuropatw w kupę także nie kropiłem.

Ale co innego we mnie się rozwinęło, powiedziałbym — wyrodziło... Oto manja rekordów. Byłem ciężko strapiony, jeśli niekiedy ktoś inny miał odemnie więcej zajęcy lub kuropatw. A zwłaszcza kaczek lub kszyków. Bo to była moja przed wojną zwierzyna.

Dzisiaj nie pragnę rekordów. Kilka trudnych, popisowych strzałów zaspokaja najzupełniej moją ambicję myśliwską. W danych warunkach oczywiście.

Z biegiem lat nauczyłem się szanować i kochać zwierzynę, poznawszy jej radości i smutki, ciężkie cierpienia głodowe i od chłodu w czasie srogiej zimy i inne różnorodne jej niebezpieczeństwa i nieszczęścia.

Mimo drobiazgowej i poniekąd, zdawałoby się, przesadnej uwagi, poświęconej noszeniu broni na polowaniach i obchodzeniu się z nią, zdarzają się i najostrożniejszemu różne przykre czasem wypadki.

Jeden z moich towarzyszy, włożywszy raz do swego browninga pięć nabojów, zarzucił go sobie następnie na plecy. W tej chwili poczęła broń strzelać sama i wszystkie ładunki wypaliły. Jakaś wada ujawniła się w konstrukcji. Zapewne. Można sobie wyobrazić minę przerażonego strzelca!....

Innym razem pewien myśliwy, zobaczywszy defilujące zające jeszcze na długo przed zamknięciem kotła, chciał do nich strzelić. Włożył więc naboje i strzelbę zamknął. Wypaliła z obu luf... Rozluźnione widocznie spusty spadły same... Z odległości dwóch kroków przeszły śruty tuż nad moją głową, a na kilka centymetrów od ręki stojącego obok łowczego przyjaciela... Ja siedziałem wtedy na niskiem krześle myśliwskiem i to mnie ocaliło.

Sprawca zbladł jak giezło, długo wpatrywał się oniemiały w swą broń zdradziecką i z miejsca odjechał do domu.

Zgrozę ludzi i popłoch wznieca taki strzelec, który np. zająca tylko lub bażanta widzi na lufie i nikogo więcej. Strzelając, jakże często szpikuje śrutami, jeśli nie sąsiada, to któregoś z naganiaczy.

Widziałem takich wypadków wiele na różnych polowaniach polnych i kniejowych.

Dlatego żądamy, ażeby każdy myśliwy: 1) kontrolował zawsze swoją strzelbę przed każdem polowaniem, 2) nie nabijał jej nigdy z wylotem, skierowanym do ludzi, ani jej w ten sposób nie rozładowywał, 3) schodząc ze stanowiska, by wyjmował zaraz naboje, niejako automatycznie, 4) nie prowadził nigdy zwierzyny lufami po linji myśliwych i naganki, 5) widział zawsze przed sobą wolne do obstrzału pole i 6) pamiętał troskliwie o tem, że broń to sprzęt bardzo niebezpieczny i że wymaga w obsłudze nieustającej uwagi i najwyższej czujności. Niema pod tym względem przesady. „Y regarder de près", jak mówi francuz.

Jeśliby zaś chodziło o samo zachowanie się na stanowisku, to trzeba stać na niem jak najciszej, ani się ruszać, ani bronią manewrować!

*

A kiedy swawolna młodość przeminie i człowiek zajmie już samodzielne stanowisko w świecie, wtedy czas najwyższy opanować zbójeckie instynkty i rozwielmożnioną dotąd pasję myśliwską ująć w karby świętej etyki łowieckiej. Niema bowiem żadnego więcej usprawiedliwienia dla błędów, popełnianych przez ludzi dojrzałych, świadomych praw i obowiązków wzorowego myśliwca. A czyż na naszych polowaniach nie zdarzają się niekiedy incydenty wprost karygodne, lub conajmniej wysoce niewłaściwe? Oto kilka przykładów, które zacytuję bezimiennie, a które zaczerpnąłem z myśliwskiej rzeczywistości.

W dniu 17 stycznia, któregoś roku, przed wojną, siedzieliśmy w liczniejszem towarzystwie u naszego przyjaciela przy wieczornym preferansie. Naraz około 9-tej otwierają się z rozmachem drzwi od przedpokoju i wchodzi w zaśnieżonych butach, z miną tryumfatora, ze strzelbą na plecach, pewien pan znajomy.

Patrzę na niego i oczom własnym nie wierzę. Cóż to? Widzę wyraźnie uwiązane na sznurku u jego boku kuropatwy!...



Parostki rogacza, ubitego w powiecie buczackim przez kłusownika. Wymiary: wysokość 24,4 — 24 cm.; obwód obu róż 22,1 cm.; obwód poszczególnej róży 16—15,7 cm.; obwód pni kostnych 8—8,3 cm.; obwód pod przednią odnogą 8—8,5 cm.; wysokość nadocznej odnogi 11 cm. Rozwidleń na jednym rogu 3, a na drugim 5. Własność p. inż. M. Galińskiego.
Fot. J. Wieczffiński.

— A to co? Skąd je pan wziął?

— Jechałem — mówi — saniami... Za wsią widzę tuż przy drodze stadko na śniegu. Nic się nie bały!... Wyjmuję więc strzelbę z futerału, nabijam ,i, nie mierząc wiele, strzelam zajęczakiem!... Zostało na miejscu cztery, jedna poleciała kilkanaście kroków, ale spadła! Mam pięć, panie dzieju!...

Inny myśliwy, wcale zresztą normalny, wytropił raz gniazdo kuropatw w ziemniakach. Było tego coś sztuk jedenaście. Poderwały się — strzelił i spadło dwie. Ale zapamiętał sobie miejsce, w którem usiadły. Poszedł za niemi, wypalił dwa razy i znowu dwie ubił. I tak długo je prześladował, dopóki ostatniej nie zabrał...

Wytępił wszystkie!

Ten sam łowiec znalazł innym razem w grudniu na pewnem oparzelisku stadko lęgowych krzyżówek. Tak się jednak na nie zawziął, że w ciągu kilku godzin wybił wszystkie. Dwanaście sztuk! Strzelał dobrze i miał prawo za sobą. Ale... co na to etyka ło-

wiecka? Od tego czasu do dzisiaj niema już w tem miejscu kaczek. A lęgły się rokrocznie.

Raz w kwietniu przywiózł on ze sobą z polowania, już gdzieindziej urządzonego, pełny plecak cyranek... Znalazły się atoli wśród nich i samice, które wszak tak łatwo odróżnić na wiosnę od barwnych kaczorków!

Zdarzało się także, że pewni strzelcy, wybrawszy się wiosną na kaczki, ubijali „przez pomyłkę" i po kilka kuropatw!... Czy i ten występek usprawiedliwić można niepohamowaną pasją myśliwską? Chyba nie!

Jeśli strzał do dzika śrutem, zwłaszcza do warchlaka, daje się niekiedy usprawiedliwić, kiedy na polowaniu, czysto zajęczem, wyskoczy on nagle z krzaków, to strzelania do sarn śrutem w kupę nie można nawet młodością uniewinnić. Raz, w ten sposób strzelane sarny, uchodziły ze śrutami, raz drugi zostały na pobojowisku... Kic i koza!...

Byłem także świadkiem, gdy na pewnem kniejowem polowaniu jeden z myśliwych wygarnął do grubego jelenia-dziesiątaka pięć razy śrutem z browninga. I zabił go wreszcie... Coprawda gospodarz łowiska miał zezwolenie na odstrzał czterech byków...

Oto krótki, wiele mówiący rejestr, różnych naszych grzechów myśliwskich, przypomnianych przeważnie z czasów odleglejszych. Na nim też kończę, sądząc zresztą, iż każdy z nas potrafiłby jeszcze zacytować w różnych odmianach całą ich litanję.

Chrońże więc, święty Hubercie, nasze łowiectwo przed wszelaką nieprawością, a uparcie grzeszących, co się mienią być rycerzami z pod Twojego znaku, jeśli ich kiedyś w dzień sądu wywoła z grobowca trąba Archanioła, nie wpuść tak łatwo, do swej kniei niebieskiej.

WŁADYSŁAW GÜRTLER

ZNOWU COŚ NA STARY TEMAT.



Fot. inż. St. Steliński.

Czytając na łamach „Łowca Pol." polemikę o szkodliwości „kotłów" na zające, należy być wdzięcznym autorom tych artykułów za troskę o zachowanie trwałości użytkowania naszych łowisk, jakoteż za zwracanie uwagi ogółowi myśliwych na pewne momenty polowania, sprzeczne z etyką myśliwską. Natomiast przychodzi na myśl, że najlepsze zalecenia mijają się z celem, jeśli są w praktyce trudne do wykonania. Tak się właśnie, mojem zdaniem, przedstawia nawoływanie do wyeliminowania „kotłów" z pośród sposobów polowania na zające.

Godząc się najzupełniej z tem, że dobrze urządzona i prowadzona ława przyjemniejszą jest od kotła i że jest od niego mniej eksterminacyjna (o ile ława nie jest zakończona t. zw. „kopftriebem"), jak również, że pędzenie najmniej wyniszcza zające, trzeba mieć na względzie, że samo polowanie nie jest tylko przeglądem zwierzyny, lecz myśliwskiem żniwem, które ma na celu danie możności uczestnikom zdobycia w rozsądnych rozmiarach większej ilości zwierzyny przy stosowaniu godziwych, lecz jak najprostszych środków.

Ława wymaga bardzo dużej ilości naganki i ze względów terenowych nie wszędzie daje się stosować; pędzenie, doskonałe w lesie i najbardziej odpowiadające zasadom etyki myśliwskiej, na polu daje zwykle małe rezultaty, o ile niema bardzo długich skrzydeł, w tym zaś wypadku mało się pod względem męczenia zajęcy różni od kotła, a wymaga też dużej ilości naganki. Wyjściem więc przy terenowych trudnościach oraz najprostszym sposobem polowania na mniejszą skalę będzie zwykle kocioł.

Sądzę przeto, iż bardziej celowem od bezwzględnego potępiania kotła jest zwrócenie uwagi na zachowanie warunków, które szkodliwość kotła zmniejszają.

Przy dobrej organizacji i wyszkolonej nagance 60—70 ludzi wystarczy na kocioł 300—350 mrg.; przy tej ilości naganki szanse wyjścia z kotła zająca zdrowego znacznie się powiększają, zwłaszcza jeśli naganka ma zapowiedziane, że z k i j a m i c h o d z i ć n i e w o l n o. W dni pochmurne wystarczy kołatka, na dwóch ludzi jedna. Dla dobicia rannego zająca powinna wystarczyć strzelba myśliwska.

Jeśli chodzi o powstrzymanie zapędów „strzelaczy" na wszelkie dystanse, to można przed polowaniem do swych gości powiedzieć: — Kochani myśliwi! Bardzo mi na tem zależy, żeby, o ile Pan Bóg pozwoli, znowu na tym samym terenie módz razem za 2 lata polować, więc starajmy się nietyle o „rekordowe strzały", jak o to, żeby jak najmniej zajęcy kaleczyć. Postrzelonego zająca nikt wam nie dobije, gdyż naganka kijów nie ma.

Pozatem można się umówić, że sygnał na zaprzestanie strzelania do kotła ma jeszcze dodatkowe znaczenie: dla myśliwych — „proszę do bryczek", a dla naganki — „przestać iść do środka", lub też — „do furmanek".

Mam więc wrażenie, iż ma zupełną słuszność p. Komierowski, mówiąc: „Polujcie jak chcecie, byle etycznie".

ALEKSANDER KARSKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na rok 1936, na I półrocze, na I kwartał, lub na miesiąc styczeń.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

JAK ZGINĄŁ OSTATNI Z SIEKIERCZYNA.

(Dokończenie).

Leśniczy z pobliskiego lasu, trujący lisy, gdy spostrzegł co się z jego gałkami dzieje, postanowił sprawcę tych, jak mu się zdawało, złośliwych psot, zgładzić. Wiedział dobrze, że psoty te były dziełem kusego lisa, którego z widzenia znał dokładnie. Nieraz, gdy nocną porą, przy księżycu jechał saniami na podjazdkę, widział kusego zdaleka. Próbował objeżdżać go w koło, ale kusy nie był tak głupi, jak niektóre inne lisy, nie chował się za kupy nawozu, nie kładł się za śnieżną zaspę, lub w jakimś dołku, lecz zmykał co tylko sił prosto przed siebie tak daleko, że go już prześladowca dojrzeć, ani dogonić powtórnie nie mógł.

Gdy się to parę razy powtórzyło i kusy nie dawał się podjechać na strzał, leśniczy zostawił go w spokoju. Jeżeli kiedy spotkali się w nocy, to leśniczy, widząc kusego, myszkującego na śniegu, zaklął tylko i jechał dalej. Lis odprowadzał go wzrokiem tak długo, aż stracił sanie z oczu. Potem prowadził dalej znów bez obawy swe łowy na myszy.

Leśniczy jednak nie skwitował z zemsty za niszczone gałki i zawziął się, by zgładzić kusego za każdą cenę. Dziwnem mu było, że kusego nikt nigdy nie widział w kniei. Gdy w jesieni, kiedy lisy włóczą się po całych dniach po lesie, polowano — leśniczy w przeddzień polowania, późnym wieczorem sam starannie zatykał wszystkie otwory jam, aby lisy w czasie polowania nie mogły się tam chować i aby kusy razem z innemi poszedł też pod lufę. Lecz napróżno — kusego w lesie nie było. Nie było go z tego powodu, że po wypadku z ogonem kusy postanowił zawsze wracać z lasu na dzień do swej polnej nory i w dzień po lesie się nie włóczył.

Leśniczy jednak śledził go i wkońcu doszedł, gdzie lis się kryje. Ucieszył się z tego bardzo, gdyż nie wątpił, że kusego dostać teraz musi. Początkowo, gdy odkrył lisią jamę w jarze, chciał ją poprostu rozkopać i chwycić lisa żywcem. Nora znajdowała się na gruncie nienależącym do dworu. Musiałby wprzód porozumieć się z właścicielem parceli, czy pozwoli na rozkopanie jamy, procz tego, gdy zbadał dokładnie miejsce, przyszedł do przekonania, że lepiej będzie zaniechać kopania. Postanowił jednak użyć innego sposobu: wykurzyć lisa z jamy. Sposób to stary, ale nie tak łatwy do wykonania, jakby się niejednemu zdawało. Najpierw należy wiedzieć dokładnie, czy lis jest w jamie, bo jeżeli go tam niema, to szkoda zachodu. Aby się przekonać o tem, trzeba mieć jamnika.

Leśniczy jamnika nie miał. Wziął się jednak na inny sposób. Rozsiał po północy piasek przed otworem nory, a gdy się rano przekonał po śladach na piasku, że lis jest w domu, przystąpił do dzieła. Zgromadził całą kupę mierzwy, starych szmat, kłaków i, zasunąwszy to wszystko tyczką w norę, podpalił. Był teraz pewny, że wkrótce lisa, uduszonego dymem, znajdzie nieżywego przy otworze jamy: Lisy bowiem, gdy cała jama zapełni się dymem, podpełzają aż pod samo ognisko, gdzie jeszcze jakiś czas można oddychać powietrzem, wchodzącem ze dworu do rozgrzanej nory i tam zwykle giną. Kusy miał jednak tak kunsztownie zbudowane mieszkanie, że dym wchodził do poprzecznego chodnika i dostawał się do korytarza wychodnego, lecz do wyżej położonej izby, gdzie lis przebywał, dojść nie mógł, zwłaszcza, że kusy, gdy tylko poczuł lekki swąd, zamknął otwór do korytarza ziemią. Próżno leśniczy kurzył parę godzin i wdmuchiwał mieszkiem dym do środka. Lisa nie było przy otworze wejściowym, ani też nie uciekł przez otwór przeciwny. Leśniczy wywnioskował, że musiał gdzieś w głębi zginąć i przestał kurzyć.

Po północy kusy wyszedł zdrów i cały. Postanowił jednak jakiś czas nie wracać do mieszkania, ale dnie przesypiać w polu. Ziemniaki stały jeszcze niewykopane, można było w nich skryć się wygodnie.

Przeszło mu tak parę dni. Pogoda dopisywała — nieśpieszno mu było wracać do domu. Gdy jednego dnia spał sobie smacznie w ziemniakach, usłyszał raptem niedaleki strzał. Zerwał się śpiesznie na nogi i wychylił głowę ponad nać ziemniaczaną, aby rozglądnąć się w sytuacji. W niewielkiej odległości ujrzał dwóch myśliwych i dwa psy, idące w stronę jego kryjówki. Szczęściem jego było, że redliny szły w kierunku myśliwych, a nie wpoprzek. Gdyby było inaczej, musiałby pokazać się myśliwym, skacząc poprzez rządki i wysoką nać, a tak głębokim rowkiem, niewidziany, szmyrgnął przy samej ziemi w pole, w kierunku swej jamy. Psy, gdy weszły na trop lisa, mimo nawoływań myśliwych, pogoniły za kusym całym pędem.



Po śniegu. Fot. J. Kulesza.

Lis wybiegł z ziemniaków na pole i wtedy leśniczy, gdyż on to polował na kuropatwy, spostrzegł kusego i zawrzał srogim gniewem. Teraz postanowił zgładzić lisa za każdą cenę. Już po kierunku, w którym lis uciekał, wiedział, że dąży do znanej mu jamy. W duchu zaprzysiągł mu, że już stamtąd żyw nie wyjdzie. Wrócił zaraz pośpiesznie do domu, wziął dwa żelaza stopowe i koszyk suchych liści i podążył do lisiej jamy. Psy, które naszczekiwały wciąż nad jamą, dostały baty i gajowy odprowadził je na leśniczówkę. Leśniczy nastawił żelaza i, wsunąwszy je w dwa otwory jamy, zakrył starannie liśćmi. Kusy był zamknięty. Gdyby próbował opuścić jamę, musiałby wpaść w pastki.

Gdy w nocy lis miał wyjść na łowy, przeczuwając zasadzkę, miał się na baczności, gdyż słyszał w dzień naszczekiwanie psów, głosy ludzi i jakieś podejrzane czynności przed swoją siedzibą. Wychodząc krok za krokiem, wietrzył wciąż i wytężał wzrok przed siebie, starając się zawczasu odkryć grożące mu niebezpieczeństwo, którego był pewny. Jego delikatne powonienie uchwyciło woń zardzewiałego żelaza, której człowiek rozpoznać węchem nie jest w stanie. Ponadto, gdy ujrzał liście, których tu wpierw nie było, poznał, że dwunogi zgotował mu jakąś zasadzkę. Bał się wyjść i postanowił cierpliwie siedzieć w jamie tak długo, aż minie wszelkie niebezpieczeństwo.

Wiadomo, że lis, gdy mu coś zagraża, może siedzieć w jamie parę dni i nie kwapi się z wyjściem. Kusy jednak miał i tu szczęście. Nad ranem, gdy się zaczęło rozwidniać, szedł pewien chłopiec z pobliskiej wsi szukać koni, pasących się przez noc na dworskiej koniczynie. Przypadkowo wypadła mu najkrótsza droga koło lisiej jamy. Przechodząc tamtędy, że był bardzo ciekaw i sprytny, spostrzegł odrazu nasypane liście, które niewiedzieć skąd się wzięły. Stanął wtedy i jął biczyskiem przegartywać je, wnioskując, że pod niemi coś musi być schowane. Naraz żelazko, dotknięte końcem biczyska, zamknęło się z trzaskiem. Chłopak odskoczył przerażony, lecz wnet uspokoił się i ucieszył ze znalezionej zdobyczy. Ani na chwilę nie zawahał się, że biorąc żelazko, popełnia kradzież. Kradzieżą według jego pojęcia było tylko branie cudzego mienia z zamkniętej komory. Żelazo bardzo mu było potrzebne, bo na strych jego chaty często zachodziła kuna. Miał wielką ochotę chwycić ją, a za sprzedaną skórkę kupić na zimę buty. Gdy idąc dalej trafił i na drugie żelazo, założone przed otworem wychodnym, radość jego nie miała granic. Konie wnet znalazł, wskoczył na grzbiet jednego i galopem pognał do wsi.



Fot. inż. St. Steliński.

W kilka minut po odjeździe chłopaka nadszedł leśniczy, a gdy ujrzał, że nietylko kusego nie złapał, ale stracił drogie żelaza, odchodził od zmysłów ze złości i oburzenia. Ponieważ był zabobonny, choć widział w tej kradzieży sprawkę człowieka, podejrzewał jednak, że stało to w związku z kusym, którego posądzał o nieczystą siłę. Od tej pory dał za wygraną i przestał zajmować się kusym. Gdyby mu jednak podszedł na strzał, nie wahałby się z pewnością palnąć mu w łeb.

Kusy tymczasem był coraz ostrożniejszy, starannie unikał tego spotkania i od tej pory żył bezpiecznie. Gdy jednak przyszła światowa wojna, ucierpiał wszelki zwierz od niej i dla lisów nadeszły ciężkie czasy. Ciągły ruch wojska po polach i lasach, strzelanina po całych dniach i nocach, dawały się we znaki zwierzynie. Wiele zwierząt zginęło od kul, bo oficerowie i żołnierze, nie mając nic do roboty na tyłach, polowali przez cały rok. Lecz to wszystko można było przetrwać w myśl niemieckiej rady: „Maul halten und durchhalten".

Lisy, choć zdziesiątkowane, mogły mieć nadzieję, że bieda ta skończy się i znów przyjdą dawne dobre czasy. Niebawem jednak przyszła gorsza klęska, która groziła, przynajmniej w bardzo wielu rozległych okolicach, zupełną zagładą lisiego rodu. Jakoś przy końcu wojny, kiedy wszędzie po polach leżały niepogrzebane końskie trupy, które lisy w braku innego pokarmu z chęcią nadjadały, wybuchła między lisim rodem do owej pory nieznana u nich choroba, szerząca się w zastraszający sposób. Dotknięty nią lis obłaził z włosów na całem ciele i ginął z wycieńczenia i zimna. O wychowaniu potomstwa nie było mowy. Młode liski zaraz po urodzeniu ginęły na tę chorobę do jednego.

Jak się lisy niestety zapóźno dowiedziały, przyczyną tej choroby były padłe na parchy konie, które lisy nadjadały. Nie szkodziło tu spożycie samego mięsa, lecz zetknięcie się ze skórą padłych koni. Gdy choroba ta rozszerzyła się w okolicy, zamieszkałej przez kusego, on tylko jeden pozostał wolny od zarazy, a to głównie z tego powodu, że żył samotnie i nigdy nie stykał się z innemi lisami, bo od kaleki lisy stroniły i omijały go zdaleka. Wszystkie lisy w okolicy wśród męczarń i poniewierki wyginęły doszczętnie, pozostał tylko on jeden — kusy. Gdy spostrzegł, że jest zupełnie osamotniony, poczuł bezmierny smutek i przygnębienie, bo choć przedtem towarzyszki i towarzysze stronili od niego, to przecież miał uciechę i zadowolenie, gdy widział myszkujących po polach braci, lub grzejące się na słońcu przed jamą matki, otoczone gromadą małych lisków. Nieraz godzinami całemi przypatrywał się harcom młodzieży, którą rodzice ćwiczyli i zaprawiali do łowów. Z wielką troskliwością odczytywał zawsze lisie znaki, pozostawiane przez towarzyszy pod samotnie stojącemi pniami drzew, słupami, lub na kamieniach w polu. Dziś nigdzie tych znaków znaleźć nie mógł i to go niepokoiło i gnębiło.

Choć teraz był sam jeden na dzień drogi w promieniu swej siedziby, często nie mógł zdobyć żywności. Brakowało zajęcy, kuropatw; sarn nie było zgoła widać — w polu brakło setek stert, przy których zawsze można coś upolować. Myszy też wyginęły, bo brakło runi ozimin. Na odłogach rozmnożyły się susły i chomiki, ale w zimie siedziały w głębokich norach i na wierzch wcale nie wychodziły.

W połowie zimy, na początku tego opowiadania opisanej, kusy ginął z głodu i kiedy wychylił się ze swej nory wspomnianego wieczoru, od trzech dni, prócz pomiotu końskiego, nie miał nic więcej w żołądku. Dziś postanowił iść do wsi i tam szukać pożywienia, bo na polach i w lesie nie miał nadziei na zdobycz. Ostry wiatr wschodni z silnym mrozem nie pozwalał namyślać się długo i siedzieć na miejscu. Ruszył tedy raźno do pobliskiej wsi, która ciągnęła się ponad brzegiem Dniestru. We wsi było cicho i nigdzie nie było widać światła w oknach domów.

Lis szedł środkiem drogi, biegnącej między zabudowaniami. Przystawał co chwila i wietrzył na wszystkie strony. Od pobliskiego chróścianego płotu, którego szeroki kosz ostrzeszka nakrywały stare snopki słomy, zalatywała woń ptaków. Podszedł tam bliżej i zwęszył, że w snopkach muszą się kryć wróble. Wskoczył lekko na wierzch niewysokiego płotu i ostrożnie kroczył wzdłuż, w kierunku pobliskiego domu, do którego płot przypierał. Wróbla żadnego nie chwycił, bo te, słysząc kroczącego po wierzchu lisa, wylatywały bokiem i siadały na dachu domu. Gdy lis doszedł do końca płotu, skoczył z niego na nisko zwisającą nad płotem słomianą strzechę chaty, sądząc, że na dachu będzie mógł schwycić popłoszone ptaki. Na dachu leżał śnieg, lis śmiało szedł po nim. Gdy doszedł do połowy, trafił na okrągły otwór w strzesze, z którego zaleciała mu do nosa ostra woń kurzego pomiotu. Kusy stanął i ostrożnie wsunął głowę do otworu. Rozejrzawszy się w ciemnościach strychu, ujrzał tam siedzące na niskiej grzędzie kury i koguta. Zastanowił się, co czynić dalej. Od otworu do powały nie było wysoko, mógł więc

dostać się tam łatwo, wyjść jednak trudniej, otwór szedł skośnie w strzesze, czego lis nie mógł zauważyć. Głód, który skręcał lisowi kiszki, nie pozwalał na długie dumania. Woń kurza drażniła go i zachęcała do stanowczego czynu. Skoczył więc szybko na powałę i chwycił śpiącego koguta za gardło. Twarde, zimowe pierze na szyi przeszkodziło w natychmiastowem uduszeniu ofiary. Kogut darł się straszliwie, a pobudzone kury wtórowały mu co sił starczyło. Lis jednak nie puszczał ofiary i wlókł ją w kierunku otworu. Tymczasem piekielny hałas obudził gospodynię na dole, która ze strachem przypomniała sobie, że otworu w strzesze na noc nie zatkała wiechciem słomy. Przestraszona, obudziła czemprędzej męża, lamentując, że kuna na strychu dusi kury.

Rozbudzony gospodarz zaświecił latarkę, wbiegł do sieni, chwycił w kącie stojące oście na ryby i wlazł po drabinie na strych. Kusy, gdy posłyszał ruch na dole, puścił zduszonego koguta, przybiegł do otworu i usiłował wyskoczyć na dach. Lecz choć otwór był niewysoko, ponieważ szedł skośnie, lis przy każdym skoku trafiał głową w łatę lub strzechę i opadał znów na powałę.Tymczasem gospodarz wspiął się po drabinie, światło latarki zabłysło na strychu. Sytuacja była groźna. Kusy, widząc, że wyskoczyć nie może, skrył się w najciemniejszy kąt między strzechą a powałą. I byłby może uszedł i tym razem, bez szwanku, bo gospodarz wyskoczył tylko w koszuli, a mróz był siarczysty, więc nie byłby długo bawił na strychu, ani prowadził dokładnych poszukiwań szkodnika. Lis jednak, gdy światło latarni oświeciło strych, zamiast skryć się i odwrócić głowę, wlepił wzrok w trzymającego latarkę. To go zdradziło, jego oczy zaświeciły teraz odbitem z latarki światłem i wyglądały, jak dwa rozżarzone do czerwoności węgle.

Garbaty przewoźnik, gdyż on to był, wnet ujrzał świecące lisie oczy i, podniósłszy latarkę, dostrzegł swą ofiarę. Obaj poznali się. Kusy zrozumiał, że wybiła dłań ostatnia chwila. Zmartwiał ze strachu i oczekiwał śmierci. Garbaty, wściekły z gniewu za ranę, którą ledwo po paru miesiącach mógł wyleczyć i za zduszonego koguta, leżącego pod nogami, silnym ciosem, wymierzonym ostrą stalową ością w głowę, zabił kusego na miejscu.

Tak zginął ostatni lis z okolicy Siekierczyna. Człowiek nasycił swe mściwe serce zemstą i tryumfował.

LEON STARKIEWICZ.

CO NA WŁASNE OCZY WIDZIAŁAM.

Zdarzyło się to przed kilku laty. Wybrałam się w pierwszych dniach października na podjazd do lasu. Droga wiodła wzdłuż zwierzyńca. Na samym rogu tegoż ujrzałam nagle wspaniałego łopatacza (daniela), stojącego nieruchomo o jakieś dziesięć—piętnaście kroków od płotu. Pokazałam go woźnicy, który, mając wzrok doskonały, odrazu zawołał:



Fragment wystawy łowieckiej w Ostrzeszowie. Po prawej trofea Marji hr. Szembekowej.

— Ależ on stoi nad drugim, zabitym!

Przyłożyłam lornetkę do oczu i wówczas rzeczywiście ujrzałam u stóp daniela leżącą drugą sztukę, łanię. Przypatrywaliśmy się mu długo, głośno rozmawiając — łopatacz również patrzał na nas, ale się nie ruszył...

Musiałam oczywiście dać znać leśniczemu o nieżywej łani, aby ją odwieziono do dworu; postanowiłam jednakże uczynić to dopiero w powrotnej drodze, bo żal mi było tracić tyle drogiego czasu na jazdę do dość odległej leśniczówki i rozmowę z leśniczym. W lesie bawiłam dobrą godzinę, może nawet i dwie, wróciłam zupełnie inną drogą, położoną po przeciwległej stronie zwierzyńca.

Zdawszy leśniczemu relację o zaszłym wypadku, wybrałam się z nim razem na miejsce, gdzie leżała zabita łania. Dojazdu do niego nie było, więc, wysiadłszy w połowie zwierzyńca, udaliśmy się w tę stronę piechotą. Zdaleka już ujrzeliśmy naszego łopatacza, stojącego, jak posąg nieruchomo, niemal że obok tego samego świerka, koło którego go przed godziną pozostawiłam.

Łani natomiast już nie było. Chłopak, rozwożący żywność dla zwierzyny, przejeżdżając tą drogą, ujrzał ją i z pomocą borowego przerzucił przez płot i włożył na wóz. Wóz ten stał jeszcze na drodze. Podczas owych przenosin, łopatacz zaledwie o kilka kroków od nich się oddalił. Zatrzymaliśmy się i my, by zobaczyć, co dalej będzie. Wóz ruszył i wzdłuż zwierzyńca powoli jechać zaczął. Jechał tak długo... Łopatacz odrazu zbliżył się do płotu i krok w krok za nim postępował, zupełnie, jak człowiek za karawanem... Postępował tak do ostatniej chwili, to jest dopóki droga nie skręciła od płotu. Potem zatrzymał się i tak pozostawiliśmy go, nieruchomo w miejscu stojącego i patrzącego w stronę oddalającego się wozu...

Łania miała w sobie osiem głębokich ran od jego rogów... Zabił — a poniewczasie żałował...

M. SZEMBEKOWA.

WIGILIJNE RANO.

W ciszą wyśnieżone wigilijne rano
wyjeżdżamy z ojcem prostemi saniami.
Pękaty wór marchwi sterczy między nami,
jeszcze ze stodoły zabieramy siano.

Smugami błękitnych kolein płyniemy
polami w pył śnieżny — jakieś jasne oczy
z tysiąca stron patrzą w gęstych rzęs otoczy.
— W las wjeżdżamy biały, uroczysty, niemy.

Po ścieżkach, śladami nakluczonych wszędzie,
rozłożymy marchew w rozpostartem sianie.
— Wracamy do domu — za nami zostanie
baśń lasu, rozsnuta w zimowej legendzie.

A może, gdy jasne gwiazdy zamigocą,
nadejdą zwierzęta, zza grubych pni sosen
i gadać ze sobą będą ludzkim głosem
przy śnieżnych choinkach — dzisiaj, świętą nocą.

MARJA MAZURKIEWICZÓWNA.

WILK I MUZYKANT.

(Z OPOWIADAŃ STAREGO ŁUKOCHWY).

Pannie Amelji Gumowskiej poświęcam.

— Hladzi, tolki nie zbłudzi — upominała kaczmarka Rochla muzykanta Szymona, wychodzącego właśnie z szynku — u takuju pahodu tolki czort da wołki badziajutsia po lesie!

— Nie zbłużu, Rochla, nie zbłużu, daroha znakomaja — odparł wesoło Szymon i, przekroczywszy próg karczmy, znikł w ciemnościach.

Otoczyły go odrazu tumany śniegu, niesione przez mroźny, północny wiatr, wygwizdujący na gałęziach przydrożnych brzóz zgoła niesamowite melodje. Szymon mocniej otulił się w kożuch i, przycisnąwszy do piersi swe ukochane skrzypce, zawinięte w szmatę, ruszył raźno w drogę.

Najpierw szedł polem i tu brzozy, któremi wysadzona była droga wskazywały mu kierunek. Wichura cięła go po twarzy, niby biczem, drobnemi igiełkami śniegu i tamowała mu oddech tak, że z największą trudnością posuwał się naprzód, brnąc przez zaspy.

— Las to drugie futro — rzekł do siebie Szymon — jak wejdę do lasu, to się ogrzeję.



Rezultat trzech miotów październikowych ub. r. Gmina Lenin Polesie. Fot. inż. J. Freyman

Jakoż niebawem usłyszał z początku cichy i niewyraźny szum drzew, który w miarę, jak się do nich zbliżał, coraz to potężniał, aż wreszcie przeszedł w groźny ryk.

— Aby do lasu — myślał Szymon, wytężając siły w walce z wiatrem.

Po chwili też zagłębił się w zbawcze czeluście boru. Było tu zaciszniej i cieplej. Posuwał się teraz raźniej naprzód i niebawem doszedł do miejsca, w którem mógł wybierać pomiędzy dwoma drogami. Jedna z nich, dalsza, prowadziła traktem; druga, bliższa, wiodła naprzełaj przez las. Po krótkim namyśle wybrał tę ostatnią. Szedł teraz wysokopiennym lasem, który jęczał i stękał pod naporem burzy. Droga, choć znajoma, poczęła mu się dziwnie dłużyć, aż wreszcie spostrzegł, że zbłądził. Wydało mu się, że zboczył w prawo, wykręcił więc raptownie w lewo. Jakież było jego zdumienie, gdy po kilkudziesięciu krokach ujrzał na śniegu swój własny ślad, majaczący w pomroce. Teraz już zupełnie stracił orjentację. Począł rzucać się to w jedną, to w drugą stronę, pędzony strachem, aż wreszcie, wyczerpany, opadł na pień zwalonego drzewa.

— Trzeba spokojnie się zastanowić — pomyślał Szymon. — Ścieżka musi być przecież gdzieś niedaleko.

Wytchnąwszy trochę, wstał z pnia i ruszył na poszukiwanie dróżki. Przeszedł ze dwadzieścia kroków, gdy raptem doznał wrażenia, że ziemia się pod nim rozstępuje i runął gdzieś w dół.

Przez chwilę, ogłuszony upadkiem, nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Nagle nasunęła mu się myśl.

— Ładna historja! Wpadłem do wilczego dołu.

Począł macać rękami wkoło siebie i po chwili namacał swoje skrzypce, które upuścił, spadając. Właśnie miał zamiar je podnieść, gdy usłyszał jakiś dziwny dźwięk, niby kłapnięcie zębami, gdzieś bardzo blisko siebie. Jednocześnie błysnęły w mroku przed Szymonem jakieś dwa światełka. Wydobył z zanadrza krzemień, skrzesał ognia i nagle zmartwiał z przerażenia. Wciśnięty w kąt jamy, o trzy kroki od niego, siedział ogromny wilk, groźnie szczerzący olbrzymie kły.

— Jezus, Marja, Józef! — westchnął Szymon — ostatnia godzina moja wybiła!

I tu przypomniał sobie o skrzypcach. A co, żeby tak zagrać, może to ułagodzi potwora.

Szybko odwinął szmatę, wydobył instrument i pociągnął smyczkiem po strunach. Zgrabiałe palce odmawiały mu posłuszeństwa, fałszował więc okrutnie, do tego ręce trzęsły się ze strachu.

Wilk, usłyszawszy muzykę, począł wyć. Na Szymonowe szczęście, był on niemniej od człowieka przestraszony tą nagłą wizytą w wilczym dole.

Działo się to wszystko na jakieś dwie godziny przed świtem, więc Szymon nie musiał długo czekać na wyzwolenie.

Grzegorz, stary i doświadczony myśliwy, zbliżając się do swego wilczego dołu, usłyszał dziwne dźwięki, mające dość dalekie podobieństwo do gry na skrzypcach, pomieszane z wyciem, najwyraźniej wilczem.

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się nabożnie. — To chyba musi nieczysta siła! Już sześćdziesiąt lat żyję, a nic podobnego nie słyszałem.

Zbliżył się ostrożnie i zajrzał do dołu. Ku wielkiemu swemu zdumieniu ujrzał w otworze muzykanta Szymona, siedzącego w rogu jamy i grającego na skrzypcach.

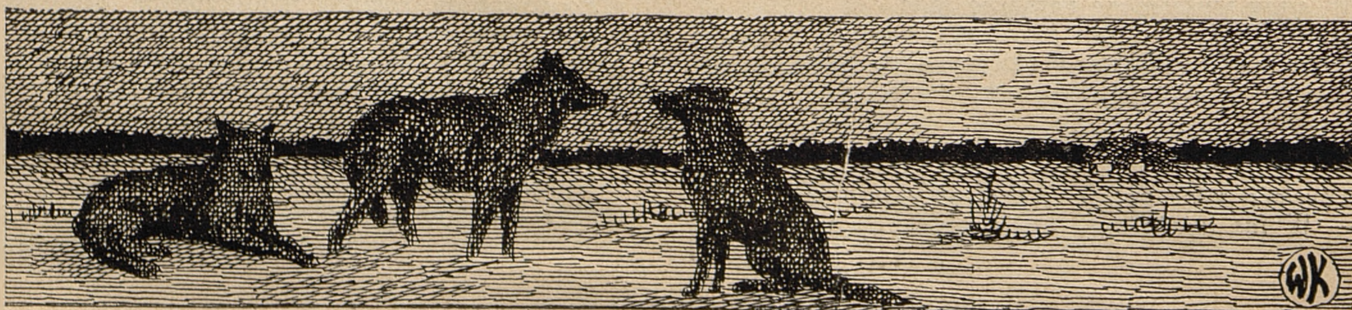
— Zwarjował, czy co? — mruknął Grzegorz.

Podszedł bliżej do dołu i znalazł rozwiązanie zagadki. W przeciwnym kącie siedział wilk, podwywając od czasu do czasu.

Złożył się ze swej kapiszonówki i strzelił wilkowi prosto pomiędzy ślepia.

Gdy Szymon powrócił do domu i zdjął czapkę, okazało się, że jest siwy, jak gołąb.

OTTON PEREŚWIET-SOŁTAN.





Kresowe zaspy. Z serji, nagrodzonej II nagr. i odznaczonej złotym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego" w 1935 r.
Fot. Wł. Wysocki.

O WRONIE I WALCE Z NIĄ W ŁOWISKU.

W wielu okolicach Polski, głównie na ziemiach północno wschodnich, mieszkańcy tych dzielnic określają mianem „wrony" kilka gatunków ptaków z rodziny krukowatych, a mianowicie wronę siwą, gawrona, wrońca, a nawet kruka (od rosyjskiej nazwy — woron), dlatego też chcę we wstępie do niniejszej pracy zaznaczyć, iż, używając wyrazu wrona, mam wyłącznie na myśli wronę siwą *(Corvus cornix)*, jako gatunek najbardziej dla łowiectwa szkodliwy, a zarazem najpospolitszy. Inne są dla hodowcy obojętne, a nawet pożyteczne, toteż bynajmniej nie zamierzam nawoływać myśliwych do ich tępienia. Nawet i wrona siwa oddaje duże usługi rolnikowi, niszcząc mnóstwo myszy polnych, nornic, oraz pędraków chrabąszcza majowego, jednak dla myśliwego - hodowcy jest to ptak bezwarunkowo szkodliwy, którego w większej ilości w żadnem łowisku tolerować nie należy i dlatego właśnie poświęcam mu obszerniejszy szkic monograficzny, który dostatecznie zilustruje obyczaje wrony z jej zaletami i wadami, przeważającemi, niestety, w sumiennie zestawionym bilansie jej życia.

*

Gdy pola opustoszeją, a nadchodzące podmuchy zimy strącą z drzew resztki listowia, skuwając ziemię twardym pancerzem grudy, zaczynają wrony zbliżać się do osiedli ludzkich, nawiedzając wsie, miasteczka i miasta, gdzie łatwiej o schronienie przed dokuczliwem zimnem, a wyrzucone resztki z ludzkich stołów dostarczą przez zimę jedynego pożywienia. Z ostrożnej i przebiegłej wrony wiejskiej — staje się każda z nich miejską żebraczką, grzebiącą na śmietniku, czy przy zlewach.

Oto jedna z nich siadła na gałęzi obumarłego na zimę drzewa. Czarną głowę z dużym, wystającym dziobem wtuliła w ramiona, osłonięte popielatym płaszczem puchu, z pod którego wyłaniają się tylko ciemne, granatowo połyskujące skrzydła i takiż ogon, oraz podgardle. Przymknęła też swe bystre, wyraziste oczy i zdaje się drzemać, ogrzewając nastroszonym puchem mocne, czarne łapy.

Kiedy ciemny granat rozleje się po całem niebie, a jedynie zachodni skrawek horyzontu płonie pomarańczową pożogą, czy krwistą czerwienią, zwiastującą ostrą mroźną noc — duże gromady wron, urozmaicone dziesiątkami wrzaskliwych kawek, krążą i kołują w powietrzu, obsiadając potem tłumnie, z głośnem krakaniem wieżyce kościołów, czy cerkwi, lub wysokie drzewa i tu spędzają noc. Ich nadzwyczajne ewolucje powietrzne, pełne gwałtownych wiraży, nagłych skrętów w bok, albo rzutów w dół, które towarzyszą zazwyczaj takiemu usadowianiu się na spoczynek — mogą nieraz wzbudzić podziw u człowieka, znającego tylko zwykły, nieco ociężały lot wrony.

Doniedawna jeszcze sądzono, że te stada ptaków, widywane u nas zimą po wsiach i miastach, składają się z wron lęgowych, przebywających stale w Polsce. Jednak metoda obrączkowania wykazała, że nasze wrony odlatują z końcem jesieni do południowych Niemiec, Francji, a nawet jeszcze dalej, zaś okazy, biesiadujące u nas w okresie zimy — są wędrowcami z północy, obrączkowanemi jako pisklęta w Rosji, Estonji i Finlandji. Czy wszystkie polskie wrony udają się na południe, czy może czynią to tylko młode sztuki, jak również, czy zimujące u nas okazy pół-

nocne, znęcone odpowiedniemi warunkami, nie pozostają na ląg — nie można dziś jeszcze tego stanowczo stwierdzić. Miałem jednak w swej praktyce łowieckiej wypadek, który wskazuje na to, że prawdopodobnie wszystkie wrony lęgowe opuszczają na zimę swe siedliska.

Jeden z moich przyjaciół, zawołany hodowca, a tem samem zażarty wróg wron — pozostawiał w swem łowisku corocznie tylko dwa gniazda tych ptaków, jak się wyrażał „dla zachowania gatunku". W roku, który opisuję, każde gniazdo zawierało po trzy pisklęta. Kiedy nadeszła zima — namówiłem kolegę, by strzelał ustawicznie wszystkie wałęsające się we dworze wrony, rozumując sposobem Heroda, iż w liczbie zabitych „niewiniątek" znajdą się i wylęgłe wiosną, tutejsze szare rozbójniczki. Ofiarą tego postanowienia w czasie od grudnia do lutego padło 17 wron. Jakież było jednak nasze zdziwienie, kiedy na wiosnę roku następnego, w najbliższem sąsiedztwie zeszłorocznych gniazd — wykryliśmy pięć nowych, z czego jedno nawet na tem samem co wówczas drzewie.



Czternastak, ubity przez M. hr. Potockiego w Schorfheide w rew. Zehdenick pod Berlinem na rykowisku 1935 r.

Wynikałoby więc z tego, że nietylko stare małżeństwo zajęło swą dawną kwaterę, ale zagnieździły się i zeszłoroczne młode. Owe więc 17 wron stanowiły wyłącznie okazy przelotne, tak przynajmniej wygląda.

Ciężkie jest życie wrony w zimie, w ustawicznej walce o byt, o nieogryzioną przez psy kość, czy jakieś odpadki z ludzkiego stołu. Widzimy, jak na śmietniku, obok bezpańskich czworonogów, wyszukuje sobie codzień pożywienia, lub, brodząc w przybrzeżnej wodzie, poluje w niezamarzniętej dotąd rzece na śnięte rybki, czy jakieś resztki ze ścieków. Wałęsa się także ustawicznie w pobliżu rzeźni, czy jatek, jak również po szkolnych podwórkach i alejach parków miejskich, zbierając okruszyny chleba i resztki porzuconych przez dzieci śniadań A gdy i tego zabraknie — włóczy się wówczas po uliczkach i zaułkach przedmieść, wyszukując razem z wróblami niestrawionych ziaren w łajnie końskiem.

Posępna, z nastroszonem pierzem, śmiała aż do bezczelności, trzyma się wszelkich osiedli ludzkich, od osad i wsi poczynając, aż do największych miast. Całą obecnie jej troską jest przetrwanie jakoś zimy. Ale niezawsze się to udaje. Czasem ostry, gwałtowny mróz zdziesiątkuje zgłodniałe wrony, czasem człowiek otruje, lub zastrzeli szare przybłędy, albo porwie je znienacka drapieżny jastrząb. Jednak sporo ich jeszcze pozostanie.

Bo wrona jest ptakiem bardzo inteligentnym, umiejącym wykryć odrazu wszelkie sidła i pułapki, w które łapie się dość rzadko. Jedynie potrzaski, ustawione na wyniosłych słupach i palikach wśród pól, na których wrony lubią siadywać przy obserwowaniu terenu — dają dobre rezultaty. W łowiskach, gdzie wron jest niewiele — najlepiej można zredukować liczbę ich do minimum przy pomocy strzelby, natomiast tam, gdzie ptaki te występują w znacznych ilościach — trzeba uciec się do zakładania trutek.

Wielu hodowców, jak i autorów łowieckich, nawołuje do trucia wron w zimie, motywując tem, że drapieżniki te, przyciśnięte głodem — łatwiejsze są do oszukania, że np. chętnie gromadzą się dokoła wywożonych śmieci, nawozu, padliny i istnieje możność uśmiercenia odrazu znaczniejszej ich ilości. W istocie, trując wrony w zimie, można osiągnąć nadzwyczajne wyniki ilościowe i ustanawiać rekordy, ale praca ta odda usługi komuś na dalekiej północy, gdy tymczasem z nadejściem wiosny powrócą do łowiska nasze „własne" wrony i jeżelibyśmy nawet stwierdzili pewien ubytek w dawnej ich liczbie — to w żadnym razie nie wart on jest pracy, włożonej w okresie zimy w sporządzanie trutek i ich kontrolowanie. A przytem najlepsze nasze chęci będzie stale paraliżowała wątpliwość, czy istotnie własne wrony niszczymy. Jeszcze gdzieś, w najbardziej zachodnich powiatach Polski, być może, że wrony pozostają przez zimę w swych stałych siedliskach, wszędzie indziej natomiast mamy do czynienia tylko z przybłędami północnymi. Na Wileńszczyźnie i w Nowogródzkiem np. kilkakrotnie spotkałem się z faktem zupełnego wytępienia zimą wron w majątku, a tymczasem w okresie lęgowym pojawiała się stała ich liczba, bez śladów jakiegokolwiek ubytku, ustalona na podstawie uwitych gniazd. Dlatego też nie radzę nikomu zajmować się sporządzaniem trutek w okresie białej stopy, a polecam rozpocząć tę czynność dopiero po stajaniu śniegu. Wówczas uzyskamy naprawdę dobre rezultaty i pozbędziemy się faktycznie dokuczliwych szkodnic. Toteż sposoby trucia i łapania wron podam nieco dalej, po ustępie traktującym o wronie wiosną.

Przyciśnięte głodem w zimie, bardzo chętnie gromadzą się wrony przy wywożonych śmieciach i padlinie, którą spożywają z wielkiem ukontentowaniem, oddając przez to człowiekowi pewne usługi. Z padliny korzystają zresztą łapczywie i w innych porach roku, chociaż mają wówczas poddostatkiem wszelkiego pożywienia. Czasami atakują także chore, albo postrzelone szaraki i, łącząc się po kilka — prześladują biedaka tak długo, aż ten padnie, a często dobijają go nawet uderzeniami dziobów. Zdrowego, dorosłego zająca wrony nie zaczepiają nigdy, wiedząc doskonale, iż nie dadzą mu rady. Umieją jednak wyśmienicie wykryć schorzałą sztukę i taką napastują bezlitośnie.

Kilka lat temu, idąc przez ośnieżony las — usłyszałem okropny wrzask wron na małem, rzadko porośniętem krzakami błotku. Sądząc, że to kraczące towarzystwo asystuje gołębiarzowi, czy innemu drapieżcy — podkradłem się cichutko. Część wron odleciała spłoszona, lecz kilka z nich, nie przeczuwając mojej obecności, atakowało nadal kępę łozy, w któ-

rej widniało coś ciemnego. Gdym podszedł bliżej — z krzaku pomknął duży szarak i padł zaraz w ogniu mej strzelby. Wyglądał zupełnie zdrowo i umykał normalnie. Kiedy go jednak podniosłem, zauważyłem, iż opasany był miedzianym drutem wnyka, który werżnął się głęboko w skórę, przecierając ją w kilku miejscach aż do ciała. Cierpiał biedak zapewne od paru dni dopiero, gdyż nie był jeszcze wychudzony i schorowany. Drut, ukryty częściowo w turzycy, widoczny był zaledwie z odległości jakiegoś najwyżej metra. W jaki sposób wrony potrafiły poznać w świetnie wyglądającym szaraku osobnika chorego, trudno zaiste powiedzieć. Dowodzi to jednak, że drapieżniczki te umieją doskonale odróżnić okazy osłabione od zdrowych.

Selekcyjna działalność wron w łowisku posiada dla hodowcy drobnej zwierzyny pewne znaczenie, toteż nie należy wytępiać tych ptaków całkowicie, pomnąc na to, że tam, gdzie zwierzostan jest dość obfity — epidemje i choroby łatwo mogą się rozkrzewić, a usuwanie przez wrony schorzałych osobników, trudnych do rozpoznania dla oka najdoświadczeńszego nawet myśliwego — uznać należy za rzecz wielce pożyteczną. Dlatego też trzeba pozostawić w łowisku przynajmniej trzy gniazda tych ptaków, pilnując jednak, by liczba wron zbytnio nie wzrastała, a nadmiar każdej wiosny skrzętnie usuwać. Mówię tu oczywiście o centralnych i zachodnich województwach Polski, gdzie wrony nie są już nazbyt liczne. Jeżeli bowiem chodzi o ziemie wschodnie — to tu jest mnóstwo tych szkodnic i liczyć się z ich ochroną zbytnio nie należy, gdyż tereny, na których nie prowadzi się racjonalnej gospodarki łowieckiej, a terenów takich jest tam dotąd sporo, są jakby rezerwatami, z których wrony ciągle rozprzestrzeniają się po całej okolicy. A że posiadają one wrogów naturalnych bardzo niewiele — przeto mnożą się szybko i opanowują coraz gęściej sąsiednie knieje. W dobie obecnej, gdy amunicja myśliwska jest niepomiernie droga — nawet starzy, zamożni hodowcy kresowi oszczędzają naboje, a przez to wronom powodzi się coraz lepiej.

Zima przeminie. Jasne promienie słońca silnie przygrzeją, śniegi zaczną tajać, ukazując czarną, wilgotną ziemię. Strumyki wody, szumiąc srebrzyście, potoczą się z wyżyn i pagórków w doliny, do rzeczek, potoków i strumieni, które wezbrane wystąpią ze swych łożysk, zatapiając okoliczne łąki, lasy i ugory. Gromady wron północnych opuszczą miasta i wsie, a na ich miejsce zjawią się nasze wrony, rozbiją się na pary, odlecą na pola i do lasów, by tam wraz z nadchodzącą wiosną, jak cała budząca się z letargu natura, przeżyć okres szczęścia i miłości.

Gdy mętne, burzliwe koryta rzek oczyszczą się z lodowej pleśni, a na rozlewach wody opadną, pozostawiając tylko w rowach i zagłębieniach płytkie kałuże — widzimy pojedyńcze wrony zajęte połowem pozostałych w mule ślimaków, rybek, czy owadów. Spacerują one nad brzegiem ruczajów, rzeczułek, czy bajorów, brodząc nierzadko w szeroko rozlanej wodzie od świtu do wieczora. Są wtedy nadzwyczaj ostrożne i na widok człowieka, ubranego nie po wiejsku — porywają się o sto metrów. Nieraz aż się dziwnem wydaje, że ta szara zuchwalczyni, z widokiem której zżyliśmy się na placach i ulicach miejskich — jest tak bardzo nieśmiałą na wsi. Wrona jest ptakiem mądrym: umie zdaleka odróżnić wieśniaka od myśliwego i choć pierwszemu zawsze w polu towarzyszy — drugiego przezornie śledzi i omija.

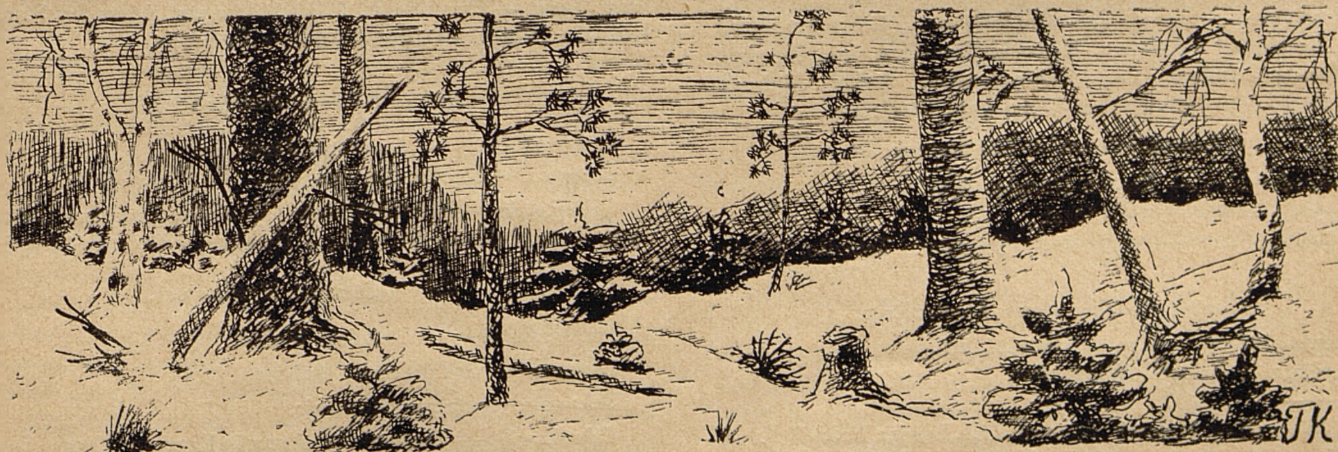


Kozły z powiatu Kępno. Fot. dr. D.

Ten okres wiosenny, kiedy wrony penetrują starannie tereny niedawnych rozlewów — jest najodpowiedniejszym do zredukowania ich liczby w łowisku przy pomocy trutek. Bowiem szkodnice, które padną teraz ofiarą naszych zabiegów — są już napewno tutejszemi, lęgowemi sztukami, a niszcząc je — pozbywamy się przyszłych gniazd na naszym terenie. Ogromnie również ułatwia nam pracę zwyczaj żerowania tych ptaków nad strugami i kałużami wśród pól, lub łąk. Wykorzystując to nawyknienie wron, możemy zawsze wytruć dowolną ilość szarych szkodnic i zabezpieczyć swój zwierzostan zajęczy, bażanci, kuropatwi, czy kaczy na cały bieżący sezon lęgów.

(D. c. n.).

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.



NA MARGINESIE ARTYKUŁU O HENRYKU SANDOMIERSKIM.

Artykuł pod tytułem „Książę Henryk Sandomierski jako myśliwy" *) napisany jest pod wrażeniem powieści Jarosława Iwaszkiewicza: „Czerwone tarcze". Jest to bardzo dobra powieść, jak wszystko, co wychodzi z pod pióra tego poety i pisarza. Toteż wprowadzone w akcję postacie—żyją. Wśród nich nasz książe, którego poznajemy nietylko ze strony fizycznej, ale i psychicznej. Jakkolwiek wizerunek ten jest w swych szczegółach z punktu widzenia historycznego przeważnie fantazją, której źródłem: wyobraźnia powieściopisarza, a środkiem realizującym: jego talent, nie przeszkadza to oczywiście zaznajomieniu ogółu myśliwych z tak pojętą sylwetę bohatera z zamierzchłej naszej, piastowskiej przeszłości. Owszem, wizerunek ćw, przeniesiony na łamy „Łowca Polskiego", robi sympatyczne wrażenie, zwłaszcza, że p. Tchorznicki, jeden z najruchliwszych współczesnych pisarzy łowieckich, uczynił to zręcznie.

Życzenie natomiast, ażeby napisano kiedyś historyczną monografję o Henryku Sandomierskim j a k o m y ś l i w y m, — niestety nigdy ziszczone nie będzie, bo ziszczone być nie może. Przyczyna bardzo prosta: absolutny brak potrzebnych źródeł. Niema ich i nigdy się nie znajdą. Te lakoniczne wiadomości historyczne, jakie o Henryku Sandomierskim posiadamy, nie pozwalają nawet marzyć o czemś podobnem.

Przy sposobności uwaga: p. Tchorznicki nazywa Henryka raz Sandomierskim, raz Pobożnym. Jest to chyba mimowolna pomyłka. Henryk Sandomierski był jednym z synów Krzywoustego i zginął w r. 1166 na wyprawie przeciw pogańskim Prusakom. Henryk Pobożny, przedstawiciel piastowskiej linji śląskiej, zginął w bitwie pod Lignicą w r. 1241. Jego to i tę bitwę, w tak niezrównany sposób (skoro już jesteśmy przy powieściach) przedstawiła p. Zofja Kossak-Szczucka w książce pod tytułem: „Lignickie pole" (Kraków 1930).

Jeszcze jedno. Wspominając o monografjach myśliwskich, poświęconych postaciom historycznym, podaje p. Tchorznicki, że taką monografję o Batorym napisał p. Wł. Gürtler. Ścisłość wymaga tu sprostowania. Autorem h i s t o r y c z n e g o opracowania monografji o Batorym jest Adolf P a w i ń s k i. Tytuł tego opracowania brzmi: „Stefan Batory jako myśliwiec" (Źródła dziejowe, tom XI, 1882). Gürtler, znany pisarz myśliwski, nie opracowywał monografji h i s t o r y c z n e j, napisał natomiast kilka obrazków l i t e r a c k i c h o Batorym. Rzeczy tych nie można identyfikować.

WITOŁD ZIEMBICKI.

*) Mieczysław Mniszek Tchorznicki: „Łowiec Polski" Nr. 33 z 1935 r.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

SKŁAD OSOBOWY KOMISYJ I SEKCYJ ZWIĄZKU.

Komisja Statutowa.

Przewodniczący — Fabrycy Kazimierz, gen. dyw.

Zastępca — Śliwiński Andrzej.

Członkowie — Garczyński Walenty red., Gędziorowski Bohdan.

Komisja Nowelizacyjna.

Przewodniczący — Grabowski Jan, inż.

Członkowie — Cierpiński Michał, inż., Domaniewski Janusz, prof., Garczyński Walenty, red., Knothe Herman, inż., Szperling Wacław, Śliwiński Andrzej, Tallen-Wilczewski Aleksander, dr.

Komisja do spraw polowań dla myśliwych zagranicznych.

Knothe Herman, inż.,

Potocki hr. Maurycy,

Zabiełło Władysław.

Komisja Propagandowa.

Przewodniczący — Skrzypek Józef,

Zastępca — Gędziorowski Bohdan,

Sekretarz — Zabiełło Władysław,

Członkowie — Garczyński Walenty, red., Gieysztor Józef, prof., Kamieński Kazimierz, Kamocki Stanisław, inż., Korybut-Daszkiewicz Juljusz, inż., Krzywoszewski Stefan, Mniszek-Tchorznicki Mieczysław, Prus-Wiśniewski Stanisław.

Komisja Muzealno-Bibljoteczna.

Przewodniczący — Knothe Herman, inż.,

Sekretarz — Kobylański Józef,

Członkowie — Prus-Wiśniewski Stanisław, Zabiełło Władysław.

Komitet Budowy Domu Łowieckiego.

Przewodniczący — Knothe Herman, inż.,

Sekretarz — Zabiełło Władysław,

Członkowie — Fabrycy Kazimierz, gen. dyw., Gędziorowski Bohdan, Skrzypek Józef, Sosonko Henryk, inż., Śliwiński Andrzej, Świda-Stolarczyk Bolesław.

Sekcja Ochrony i Hodowli Jelenia.

Przewodniczący — Knothe Herman, inż.,

Członkowie — przedstawiciele Oddziałów Związku: Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie, Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego w Toruniu, Wielkopolskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Białymstoku.

Sekcja Ochrony i Hodowli Łosia

Przewodniczący — Gieysztor Józef, prof.,

Zastępca — Knothe Herman, inż.,

Członkowie — Hofman Mieczysław, Maurycy hr. Potocki, Karol ks. Radziwiłł, Korsak Włodzimierz, — z Dyrekcji L. P. w Wilnie, Modzelewski Stefan — Dyrektor L. P. w Łucku, Nejman Karol — Dyrektor L. P. w Białowieży, Adam hr. Starzeński — z Państwowej Rady Ochrony Przyrody.

Sekcja Ochrony Niedźwiedzia.

Przewodniczący — Gieysztor Józef, prof.,

Zastępca — Knothe Herman, inż.,

Członkowie — Przedstawiciele Oddziałów Związku, Państwowej Rady Ochrony Przyrody i Dyrekcyj Lasów Państwowych.

Sekcja Strzelań Myśliwskich.

Przewodniczący — Regulski Stefan,

Zastępca — Gędziorowski Bohdan,

Sekretarz — Nałęcz Sławomir,

Członkowie — Baranowski Antoni, Kitzman Karol, Rosenwerth bar. Stanisław.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU KĘPNO.

Powiat kępiński posiada 235 zarejestrowanych obwodów łowieckich o łącznej powierzchni 106.706,50 ha, przeciętny teren łowiecki ma zatem około 450 ha. W roku bieżącym zostało wydanych 250 kart łowieckich. Na terenie powiatu istnieje jedna organizacja myśliwska pod nazwą „Zespół Myśliwych Powiatu Kępińskiego", skupiająca, jak już sama nazwa wskazuje, wszystkich myśliwych powiatu. Zadaniem tej organizacji jest szerzenie zrozumienia wśród członków racjonalnej hodowli zwierzyny i racjonalnego myślistwa. Pozatem istnieje w Ostrzeszowie Klub Myśliwski, który dzierżawi większe tereny łowieckie.

Zespół Myśliwych prócz normalnych zebrań zorganizował w sierpniu 1934 r. podczas wystawy „Rolniczo-Przemysłowej" w Ostrzeszowie pokaz trofeów łowieckich z terenu powiatu kępińskiego, zdobytych w czasie od 1 stycznia 1919 r. do 12 sierpnia 1934 r. Udział wystawców był bardzo liczny i zgromadził pokaźną ilość dobrych trofeów. Premjowanie odbyło się na podstawie systemu, ogłoszonego w „Łowcu Polskim" Nr. 6 z dnia 20.II i nr. 7 z dnia 1.III 1934 r. Nagrody w formie medali wydawano za poszczególne trofea, jak i całe kolekcje. Za wieńce jeleni wydano 6 medali złotych, 6 medali srebrnych i 3 medale bronzowe. Za poroże rogaczy 6 medali srebrnych i 10 bronzowych. Za szable dzików 1 medal srebrny. Za łopaty danieli 1 medal złoty i 1 medal srebrny. Za zbiór trofeów 3 medale złote, 5 medali srebrnych i 3 medale bronzowe. Specjalnie wyróżniły się kolekcje, wystawione przez p. hr. Szembekową z Siemianic i Fundację Laski.

Stan zwierzyny w powiecie kępińskim jest dobry, jednak w ostatnich latach nie nastąpiło żadne wybitne polepszenie się zwierzostanu. Naogół tłomaczy się to klęską posuchy, która w ostatnich latach nawiedziła powiat kępiński. Nie jest to jednak jedyny powód. Najważniejszym wrogiem hodowli zwierzyny jest prawdopodobnie niska cena za ubitą zwierzynę, niepokrywająca w żadnym stopniu wydatków, łożonych na hodowlę, i odstraszająca właścicieli terenów od robienia jakichkolwiek inwestycyj oraz ulepszeń w dziedzinie łowiectwa. Plaga kłusownictwa, dzięki energicznej akcji policji, organów administracyjnych oraz samych myśliwych, nie przybiera zastraszających rozmiarów, mimo stosunkowo dużej ilości bezrobotnych.

Powiat kępiński posiada około 25% lasów, i dlatego obfituje też w zwierzynę grubą, jak: jelenie, daniele i dziki. Na ogólną liczbę około 400 sztuk jeleni w powiecie, pada rocznie około 30 szt. byków, w tem kilka silnych, mogących ubiegać się o medale na wystawach stołecznych.

M. SICIŃSKI. Inż. F. OSIŃSKI.
Delegaci P. Z. S. Ł. na pow. Kępno.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Malczewski Rafał: *Tatry i Podhale*. Poznań (1935). Stron 206, 6 nlb., 2 mapki.

Zasłużone „Wydawnictwo Polskie" R. Wegnera w Poznaniu puściło na rynek księgarski nowe dzieło z cyklu „Cuda Polski" — p. t. „Tatry i Podhale". Wydawnictwo to pod względem opracowania, kwiecistego stylu, interesującego ujęcia, doboru wspaniałych fotografij, których jest 281 i wykończenia technicznego, przynosi chlubę wydawniczej firmie.

W dziele tem znajdzie też myśliwy sporo interesujących ustępów i wzmianek. „Niejeden fajny z pod polskich Tatr polowac, co sobie użył to se użył" i nie raz. Tak o nich i zwierzynie tatrzańskiej pisze — między innemi — Autor: „Ze zbójnictwem łączyła się pasja myśliwska. Namiętny polowac tropi wszelkiego rodzaju zwierzynę. Zakłada paście, łapie w sidła, grzebie wilcze doły. Najzacieklej walczył jednak z niedźwiedziem, często wręcz nastawiając karku. Tępił całe kierdele kozic, bił orły, polował na dziki i wilki. Jesienią wykopywał tłuste świstaki, używając sadła tych śpiochów-gryzoniów, jako balsamu gojącego wszelkie rany. Z czasem, gdy w Tatrach zapanował jakiś ład w sprawach własności, gdy kozice i świstaki znalazły się pod ochroną, staje się górski polowac uporczywym kłusownikiem, nieuleczalnym, dygocącym na widok kóz, lub niedźwiedzia. I dzisiaj jeszcze, chociaż wybito prawie docna zwierzynę w Tatrach, zwłaszcza w latach wielkiej wojny, gdy wracający na urlop góral zjawiał się z karabinem i nie myślał o powrocie do regimentu; „raubszyc" ślakuje w lasach podtatrzańskich, choć wie, że grozi mu nieunikniony kryminał".

W dziele tem wymienia też Autor inne zwierzęta; rzuca kilka wyrazów z terminologji łowieckiej; mówi o kościołku w Dębnie, zabytku sztuki ludowej, na którego ścianach widnieją postacie zwierzęce — papuga, heraldyczny orzeł, smok i jeleń, zabijany przez rycerza, lub myśliwca; wspomina sławnego myśliwego-ornitologa Kazimierza hr. Wodzickiego oraz księdza dr. Eugenjusza Janotę, opiekuna kozic i świstaków tatrzańskich, pisze też o zwierzyńcu Hohenlohego. Wśród fotografij są również myśliwskie, jak: polowac, typy kłusowników z Sabałą na czele, jeleń, młody jelonek, łanie, świstak.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

Żabińska A.: *„Jak białowieskie rysice zostały warszawiankami"*, str. 60.

Nakładem „Naszej Księgarni" Sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego (Warszawa 1936), jako tomik pierwszy cyklu „Opowieści przyrodniczych" pod redakcją Z. Bohuszewiczówny, wydane zostało powyższe opowiadanie Autorki.

Pani Żabińska obrała sobie za temat życie młodych rysiczek, schwytanych w Puszczy Białowieskiej i oddanych na wychowanie Warszawskiemu Ogrodowi Zoologicznemu.

Patrząc nieustannie na ich stopniowy rozwój fizyczny w przeciągu dwóch lat, Autorka interesuje się szczególnie naturą wzrastających w niewoli rysic, poznaje psychikę tych zwierząt, czyniąc mnóstwo obserwacyj i pogłębiając zrozumienie i odczucie charakterystycznych linij psychiki tych kotów.

Dwadzieścia dwie stronice opowieści zajmuje wstęp, zatytułowany „W puszczy", w którym Autorka stara się odtworzyć historję rysicy-matki, której odebrano ostatnie jej potomstwo, znalezione przypadkowo przez ludzi, gdy miało już miesiąc życia za sobą. Wstęp ten posiada trzy rozdziały, z których dwa pierwsze są w całości literaturą, zaczerpniętą z fantazji Autorki, plastycznie przedstawiającej momenty życia puszczy, w odniesieniu do natury i zwyczajów rysia.

Bardzo naturalnie jest przedstawiony wybór legowiska, związany z oczekiwanemi narodzinami młodych, świetnie odtworzone wyobraźnią autorki obrazy polowania rysicy dla zdobycia pożywienia, spotkanie z rysiem-samcem i wiele innych szczegółów z życia puszczy.

„Prawda" opowiadania rozpoczyna się już w rozdziale trzecim, w którym maleńkie rysiątka zabiera gajowy do nadleśnictwa, skąd dwie samiczki wędrują do Warszawy, dwie pozostałe do jednego z nadleśnictw pod Częstochową. O tych ostatnich nic więcej Autorka nie mówi.

O „warszawiankach" snuje całą opowieść w pięciu rozdziałach, zamykających szczegóły ich życia w ogrodzie zoologicznym — w znacznej części w mieszkaniu ludzkiem i w bezpośredniem zetknięciu tych drapieżców dzikiej puszczy z człowiekiem.

Rozdziały te noszą następujące tytuły: „Rysiczki zawierają znajomość z otoczeniem. Pierwsze węzły przyjaźni z ludźmi"; „Pierwsze lato w Zoo. Nowe przygody i nowi przyjaciele. Nauka". „Gry i zabawy zimowe. Zwichnięta noga. Pierwsza rozłąka z opiekunami"; „Ucieczka i powrót"; „Znajomość ze starym rysiem".

„Tofi" i „Tufa" — tak nazywają się bohaterki tej niezwykle miłej opowieści — są ulubienicami opiekunów i wychowawców, szczególnie samej Autorki, która niezwykle skrzętnie zbiera wszystkie swe spostrzeżenia i fakty ważniejszych wydarzeń w życiu rysiczek, umie je doskonale ująć psychicznie, przedstawić i wytłomaczyć czytelnikowi.

Książeczka pani Żabińskiej zasługuje na szczególną uwagę, jako opowieść przyrodnicza dla młodzieży, wszelako wzbudzi z pewnością zainteresowanie w każdym najwytrawniejszym nawet myśliwym-rysiarzu, który poznał naturę tego kota na wolności, w dzikiem, naturalnem otoczeniu, lecz bardziej ze strony swego myśliwskiego zainteresowania.

WŁ. Z.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

„WILD UND HUND".

Nr. 20/1935, str. 309. H. Baltz. *„Nowy typ rzemienia do strzelby, chroniący od wypadków"*. — W Austrji zaczęto stosować do noszenia strzelby nowy typ rzemienia. Inowacja polega na tem, że szeroki rzemień jest od połowy rozdwojony, zakłada się on wraz z umocowaną doń strzelbą na oba ramiona, podobnie jak plecak, i zapina się na metalowy hak czy karabinek. Użycie takiego rzemienia ma następujące strony dodatnie: 1. w rękach wolnych od przytrzymywania strzelby może myśliwy nieść zwierzynę, bądź też kij, tak niezbędny w górzystym terenie; 2. strzelbie, spoczywającej na plecach, nie grozi uszkodzenie od uderzenia o drzewo czy skały, a równocześnie nie przeszkadza ona przy przechodzeniu przez płoty lub w jeździe rowerem; 3. umieszczenie strzelby z tyłu i lufą w górę zapobiega wszelkim nieszczęśliwym wypadkom; 4. usuwa się zupełnie niewygoda obsuwania się strzelby z jednego ramienia, zaś rozłożenie jej ciężaru na oba ramiona ułatwia dłuższe marsze. Oczywiście przy pościgu za zwierzyną takie noszenie broni nie jest wskazane, ale wówczas obie połówki rzemienia łączy się w jedno zapomocą przesuwanego metalowego suwaka i zarzuca strzelbę bądź na jedno ramię, bądź niesie się ją w rękach.

Nr. 43/1935, str. 952. *„Pomoc zimowa 1935/36"*. — Wielki Łowczy Rzeszy, za przykładem roku ubiegłego, zwraca się do Związku myśliwych niemieckich z wezwaniem o złożenie i w roku bieżącym na rzecz najbiedniejszych ofiary w postaci upolowanej zwierzyny. Ofiarę tę, którą W. Łowczy określa na 5% rocznego rozkładu, jako normę minimalną, należy w okresie od 1 listopada do 20 grudnia r. b. dostarczyć w naturze, mianowicie w postaci zwierzyny płowej, dzików, zajęcy, królików i bażantów powiatowym pełnomocnikom. Zamiana ofiary w naturze na pieniężną równowartość nie jest dopuszczana. Łowczy powiatowi obowiązani są składać W. Łowczemu szczegółowe sprawozdania z przebiegu zbiórki.

Nr. 43/1935, str. 956. H. Eiserhardt: *„Co możemy uczynić, aby podnieść stan kuropatw?"* — Na ilostan kuropatw ma przemożny wpływ stan pogody w okresie lęgowym, a więc od połowy kwietnia do końca maja. Niestety, w tym zakresie rola najbardziej gorliwego hodowcy sprowadza się do biernej obserwacji. Równie bezradnym jest myśliwy, jeżeli chodzi np. o przesunięcie czasu wykaszania łąk przy lęgach spóźnionych. Toteż zabiegi myśliwego-hodowcy powinny w zakresie ochrony kuropatw iść w kierunkach następujących: zapewnienia maksimum spokoju kurom w okresie lęgów, ochrony kur przed drapieżnikami i wnykarzami, racjonalnego odstrzału kur po otwarciu na nie polowania, prawidłowego dokarmiania zimą, wreszcie odświeżania krwi. Jak dalece są kuropatwy wrażliwe na niepokojenie ich podczas wysiadywania jaj, o tem świadczy wypadek, obserwowany przez autora: młody pies, spłoszył w rozpędzie kurę, siedzącą na 17 jajach — i kura do gniazda już nie wróciła. Z tych samych względów więcej szkody, niż pożytku, przynosi stosowane przez niektórych myśliwych przeszukiwanie z psem łąk i koniczynisk w okresie parzenia się kuropatw, celem rzekomego zapobieżenia zakładaniu tam gniazd, jako narażonych na zniszczenie wskutek przedwczesnego wykaszania trawy. Przy sposobności autor zauważa, iż niebezpieczeństwo niszczenia gniazd kuropatwich przez żniwiarki mechaniczne nie jest tak wielkie, jak się powszechnie sądzi, gdyż kury niechętnie zakładają gniazda na polach, zasianych rzędowo i wolnych od podszycia trawiastego.

Jeżeli chodzi o drapieżniki, to największymi szkodnikami dla kuropatw są koty, lisy, borsuki oraz jastrzębie; znacznie mniej niebezpiecznemi są łasica i wrona siwa. Ale przedewszystkiem walczyć należy z kotami, a następnie z wnykarzami. Co do sposobów polowań na kury, to za najodpowiedniejszy uważać należy polowanie w pojedynkę, najwięcej we dwie strzelby, z psem. Przy większej ilości myśliwych każde wystawione stado otaczają kołem strzelcy i, gorączkując się, nietyle ubijają, co ranią ptaki, zrywające się kupą. Z każdego podjętego stada należy pozostawiać 8, a najmniej 6 sztuk w myśl zdania, że z tej szóstki 2 kury zabierze jastrząb, 2 — zima, a zaledwie pozostała para utrzyma się do wiosny. Również za niewskazane, przy małym stanie kur, uważa autor strzelanie do kur przy jesiennych polowaniach na zające z naganką. Szanse zabicia są małe, ale poranienia i zmarnowania — bardzo duże. Dokarmianie kur zimą powinno się odbywać w karmnikach, przykrytych od góry i ukrytych w krzakach naturalnych, względnie umyślnie zasadzonych celem ochrony przed drapieżnikami. Sypanie nasion chwastów — nie ziarna, bo jest ono mniej pożyteczne i droższe — na gołą ziemię powoduje nietylko marnowanie pokarmu, ale sprowadza na to miejsce drapieżniki, które zdaleka widzą zgromadzone kury. Wreszcie wpuszczanie w latach słabego ilostanu kuropatw kilkunastu par kur, zakupionych od hodowców, sprzyja nietylko podniesieniu zwierzostanu w roku następnym, ale i wzmacnia stada przez odświeżanie krwi.

J. G.

KŁUSOWNICTWO

SKAZANIE ZABÓJCY Ś. P. EDWARDA NIEMOJEWSKIEGO

W Nr. 13 „Łowca Polskiego" z ub. r. na pierwszej kolumnie wydrukowany był opis zabójstwa, dokonanego przez kłusowników na osobie właściciela maj. Lasocin i Oleszno w powiecie włoszczowskim, ś. p. Edwarda Niemojewskiego.

Ponieważ fakt ten odbił się głośnem echem w całej prasie, a niektóre wersje fałszywie oświetlały przebieg wydarzeń, wskutek czego czytający je mogli wyrobić sobie przekonanie, że ś. p. Edward Niemojewski sprowokował zabójców przez rozpoczęcie do nich strzelaniny, której może można było uniknąć, inaczej likwidując sprawę, zmierzającą do odebrania kłusownikom broni na placu — czujemy się w obowiązku podać stwierdzone na przewodzie sądowym szczegóły tragicznego spotkania, ogłoszone w szeregu pism codziennych.

Podczas rozprawy w sądzie okręgowym w Kielcach, stwierdzono mianowicie, że w dniu 16 kwietnia 1935 r. oskarżeni Antoni Biskupski, Antoni Maciejewski i Stanisław Stańczyk polowali na sarny na terenie majątku Lasocin, uzbrojeni w dubeltówki i posługując się naganką. Powracających z ubitą zwierzyną do domu, spotkali gajowi Juljan Strączyński i Stanisław Lichocki, na widok których kłusownicy porzucili ubite sarny w krzakach, sami zaś z bronią rzucili się do ucieczki przez bagno, w kierunku wsi Wojciechów. Gajowi zabiegli uciekającym drogę i wezwali ich do rzucenia broni.

W odpowiedzi na to kłusownicy odwiedli kurki swych strzelb, Biskupski zaś wezwał gajowych do ustąpienia z drogi.

Nie myśląc długo, gajowy Strączyński rzucił się na Biskupskiego i usiłował wyrwać mu z rąk dubeltówkę, a gdy to się działo, kłusownik Maciejewski przyłożył swoją dubeltówkę do piersi Strączyńskiego i pociągnął za cyngiel. Nabój nie wypalił, dzięki czemu gajowy zawdzięcza życie.

Na tę chwilę nadbiegł ś. p. Edward Niemojewski z mauzerem w ręku, a z nim trzeci gajowy Stanisław Łopato. Ś. p. Edward Niemojewski wezwał Biskupskiego do złożenia broni, a gdy ten nie usłuchał powtórnego wezwania i zażądał wycofania zagradzających mu drogę ucieczki — przez bagno — gajowych, ś. p. Niemojewski strzelił dwukrotnie w górę, a gdy i to nie poskutkowało, natomiast pozostali kłusownicy zaczęli ostrzeliwać gojowych, trzecią kulę posłał w nogę Biskupskiego, pragnąc go umiejscowić.

Zaraz potem odwrócił się plecami do rannego kłusownika i pośpieszył z pomocą ostrzeliwanym gajowym. W tym właśnie momencie, wykorzystanym przez Biskupskiego, padł strzał z jego ręki, wymierzony do ś. p. Edwarda Niemojewskiego, po którym ten ostatni padł trupem na miejscu.

Następnie, pomimo tak tragicznego wyniku swego strzału, Biskupski wystrzelił do gajowego Lichockiego, który jednak w samą porę padł na ziemię, unikając tym sposobem pewnej śmierci.

Teraz nastąpił celny strzał gajowego Łopato, który dosięgnął Biskupskiego w bok i obezwładnił go.

Towarzysze Biskupskiego, widząc śmierć ś. p. Edwarda Niemojewskiego i korzystając z zamieszania, zbiegli.

Sąd pod przewodnitcwem sędziego Różyckiego skazał oskarżonych, jak następuje:

Biskupskiego za zabójstwo ś. p. Edwarda Niemojewskiego na 12 lat więzienia, a za usiłowanie zabójstwa gajowego Lichockiego na 7 lat więzienia — łącznie skazując go na 15 lat więzienia;

Maciejewskiego za usiłowanie zabójstwa gajowego Strączyńskiego na 6 lat więzienia;

Stańczyka za usiłowania zabójstwa gajowego na 5 lat więzienia.

Sprawiedliwości stało się zadość. Kłusownicy ponoszą zupełnie służoną karę.

Wł. Z.

(—zet—) W początku grudnia ub. r. leśniczy z Czerwonki, (Śląsk), p. Franciszek Piskoń zawiadomił posterunek policji, że nieznani mu bliżej, a nieuchwytni sprawcy dokonują w lesie, powierzonym jego opiece, częstych kradzieży drzewa i uprawiają kłusownictwo.

Na interwencję leśniczego zarządzono obławę, podczas której znaleziono w lesie 23 sztuki sideł. W pewnym momencie spotkano włóczących się po lesie dwóch osobników, których poddano rewizji osobistej, znajdując przy nich siatki druciane do łapania ptaków i wnyki na zające.

Wnykarzami okazali się Jan Malicki i Teodor Wójcik, mieszkańcy pobliskiej wsi. W mieszkaniach ich znaleziono kilka ptaków śpiewających, duży zapas sideł i drutów, a także zapasy pochodzącego z kradzieży drzewa.

Na sidlarzy sporządzono odpowiednie doniesienie karne.

*

(—zet—) Na polach wsi Żakiele, gm. Rudomino, na Wileńszczyźnie gajowi Ludwik Chalewicz i Łukasz Połujański spotkali braci Dakszewiczów, Jana i Józefa, na kłusownictwie.

W czasie odbierania strzelby Jan Dakszewicz stawiał opór i dotkliwie pobił gajowego Chalewicza, w czem dopomagał bratu Józef Dakszewicz.

Wówczas Chalewicz dał kilka strzałów, skierowanych do Jana Dakszewicza, po których ten rzucił się do ucieczki. Ostatnia kula dosięgła go już podczas ucieczki i okazała się śmiertelną.

*

(—zet—) W dniu 9 listopada ub. r. odbywało się w maj. Borków pow. kaliskiego polowanie z naganką. Na polach wsi Tykadłów, graniczących z maj. Borków — polowali jednocześnie Kazimierz Kryszak oraz Stanisław i Marcin Maniewscy, legalni posiadacze broni i prawa polowania. Nie było to jednak rzeczą przypadku, skoro się zważy fakt, że wymienieni ubili z napędzonych z Borkowa sarn rogacza i dwie kozy, a ranili trzecią, która powróciła do Borkowa, gdzie mieści się tych sarn ostoja i tam po kilku dniach padła. Cóż mówić o etyce myśliwskiej tych osobników, którzy najwidoczniej rozmyślnie urządzili sobie polowanie, by wykorzystać sytuację, powstałą wskutek polowania u sąsiada i „pożywić" się jego zwierzyną, skoro dopuścili się prócz tego przestępstwa prawa łowieckiego.

Chwała Bogu, niejednokrotnie zdarza się, że różni „myśliwi", czasem nawet ze sfer inteligentniejszych, do czasu tylko formalnie mogą uchodzić za prawidłowo polujących i korzystać z przywileju posiadania karty łowieckiej, aż ich instynkty strzelacze i kłusownicze nie zbiegną się z „odpowiednią" okazją.

Zdemaskowanym w ten sposób, za zupełny brak etyki myśliwskiej i za jednoczesne dokonanie przestępstwa, władze administracyjne powinny bezapelacyjnie i raz na zawsze odebrać prawo posiadania broni myśliwskiej i prawo polowania. Niewątpliwie i w tym wypadku starosta kaliski wyda to surowe, lecz sprawiedliwe orzeczenie.

*

(—zet—) P. Mieczysławowi Stokfiszowi, praktykantowi leśnemu z Wieńca-Zdroja, pow. włocławskiego, udało się zatrzymać w lesie niejakiego J. Kwiatkowskiego, mieszkańca Włocławka, przy którym znaleziono wnyki na zwierzynę.

Kwiatkowskiego z dowodami rzeczowemi odprowadzono na posterunek policji.

*

(—zet—) 2 grudnia ub. r. leśniczy maj. Moszczenica, pow. piotrkowskiego, p. Wiese, napotkał podczas obchodu lasu nieznanego osobnika z bronią, który, spostrzegłszy leśniczego, strzelił w jego kierunku, na szczęście nie trafiając.

Pan Wiese nie pozostał dłużnym i w odpowiedzi na strzał kłusownika wystrzelił doń również. Prawdopodobnie i ten strzał także chybił, bowiem nieznajomy zdołał zbiedz i dotychczas nie został wykryty.

*

(—zet—) W początku grudnia b. r. posterunek policji państwowej w Murckach (Wielkopolska) zorganizował nocną obławę na stale grasujących w okolicy kłusowników. Do obławy przyłączył się miejscowy leśniczy p. Leszowicz.

W pewnym momencie, gdy jeden z patroli, złożony z leśniczego i posterunkowego Wróbla, znalazł się pod samym lasem, ujrzeli niezwykle silny snop światła z reflektora, idący ze skraju lasu.

Wówczas powzięli przekonanie, że są w pobliżu kłusowników, którzy zapomocą światła elektrycznego badają teren podleśnych pól w poszukiwaniu żerującej zwierzyny, w celu jej oślepienia i łatwiejszego podejścia na strzał.

Natychmiast udali się do lasu, obchodząc zdaleka przypuszczalną kryjówkę kłusowników, lecz kiedy byli już blisko, zostali nagle sami oświetleni. Wówczas leśniczy odruchowo wymierzył i wypalił w punkt świetlny. Okazało się, że kula rozbiła i zgasiła reflektor, lecz kłusownikom nie przyczyniła szkody i zdołali oni zbiedz.

Zarządzono poszukiwania i dochodzenie.

*

(—zet—) W dniu 30 listopada b. r. posterunkowy Kawecki z Rozprzy, pow. piotrkowskiego, podczas patrolowania okolicy natknął się na polach wsi Ludwików, gm. Gorzkowice, na dwóch kłusowników, którzy nietylko nie usłuchali wezwania do zatrzymania się, lecz kilkakrotnie do policjanta wystrzelili.

Kawecki w obronie własnej odpowiedział strzałami, z których jeden ranił niejakiego Ludwika Matyję. Gdy policjant zajął się rannym, towarzysz tego ostatniego skorzystał z nieuwagi i napadł na Kaweckiego, bijąc go kołkiem po głowie i usiłując wyrwać mu z ręki rewolwer.

To znów wywołało strzał obronny posterunkowego, wskutek czego napastnik został ranny w nogę. Okazał się on bratem pierwszego rannego, Marjanem Matyją.

Obu rannych braci przewieziono do szpitala w Piotrkowie. Dochodzenie w toku.

*

(—zet—) Gajowy z maj. Łunna Wola, w Grodzieńszczyźnie, Franciszek Skupnik, podczas wieczornego obchodu lasu, natrafił na żywego jeszcze zająca, schwytanego w drucianą pętlę, umocowaną do gałęzi żywego drzewa. Skupnik naturalnie zająca uwolnił z wnyka i puścił.

Następnego dnia gajowy ten poszedł w to samo miejsce celem wykrycia wnykarza, który, jak przypuszczał, zjawi się sprawdzić swój wnyk. Idąc tam, spostrzegł osobnika, idącego z psem tropem zająca. Osobnika tego Skupnik zatrzymał, zrewidował (nic przy nim nie znajdując) i chciał odprowadzić na posterunek policji. Nieznajomy sprzeciwił się temu i zaraz potem począł uciekać w pole, a obok biegł pies.

Gajowy wówczas strzelił do psa, zabijając go na miejscu. Okazało się jednak, że kilka śrucin ugodziło owego osobnika w pośladek i goleń lewej nogi.

Dochodzenie policyjne ustaliło, że postrzelonym jest Aleksander Makiej ze wsi Zarębiły, gm. Wołpa, który trudnił się oddawna wnykarstwem i on to właśnie zastawił poprzedniego dnia ową pętlę, z której Skupnik uwolnił zająca.

Jak stwierdził lekarz rejonowy w Łunnie, postrzał Makieja należy do kategorji lekkich uszkodzeń ciała.

Dropie w Wielkopolsce.

Z początkiem września znaleziono na terenie majętności Dłoń, Wlkp. młodego dropia, obrączkowanego Nr. 197, — uderzonego najwidoczniej przez gołębiarza. Pewność, że sprawcą był gołębiarz, pochodzi stąd, że w tym samym czasie padły cztery indyczki, prowadzające młode bażanty, a na miejscu schwytano w potrzaski młode gołębiarze, które pojawiają się tu rokrocznie w chwili najnieodpowiedniejszej, bo w czasie pierzenia i dorastania młodych bażantów, w ilości znacznej, a chwyta i strzela się zwykle 10—12 sztuk tych jastrzębi. Dropie zaś teren ten odwiedzają co roku w liczbie około 14 sztuk.

JAESCHKE, leśniczy.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniach 23 i 25 listopada r. ub. odbyło się polowanie u pp. Stanisławostwa Wyganowskich w Warszówce i Skarszewie, przy udziale pierwszego dnia 8 strzelb, drugiego dnia 12. Ubito: zajęcy 838, bażantów 1312, kuropatw 100, królików 147, różnych 9 — ogółem przez dwa dni sztuk 2406.

— W dniach 14, 15 i 16 listopada ub. r. odbyło się polowanie na 7 stanowisk w głębokiej kniei lasów rudnickich Hieronima hr. Tarnowskiego.

Pierwszego dnia opolowano rewir Tarnowską-Górę, drugiego — Rudnik, a trzeciego — Groble.

Tylko dzięki znakomitej organizacji, głębokiej znajomości sztuki łowieckiej i mistrzowskiemu prowadzeniu polowania, można było opolować tak znaczny teren w trzech dniach i na czarnej stopie osiągnąć tak wspaniały rezultat.

W pierwszym dniu polowania nie braliśmy zupełnie sztuceców do kniei, bo dziki nie były spodziewane, a rewir Tarnowska-Góra złożył tylko haracz w postaci kilkunastu lisów i zajęcy.

Drugi i trzeci dzień polowania, t. j. rewiry Rudnik i Groble dały zato częste spotkania z dzikami, które jednakże przebijały się najczęściej przez nagankę, lub wychodziły flanką, z powodu niepomyślnego wiatru.

Widzianych było ogółem 33 dziki.

Rezultat ogólny polowania: 4 dziki, 16 lisów, 1 łania, 3 kozy, 55 zajęcy, 1 słonka i 3 kuropatwy.

Do łań i kóz strzelano wyłącznie kulami, na prośbę gospodarza, który z powodu nadmiernej ich ilości, otrzymał ze względów hodowlanych, pozwolenie odstrzału 50 łań i 20 kóz.

Pogoda dopisała cudownie i rezultat polowania mógłby być znacznie lepszy, ale „ułaskawiono" wspaniałomyślnie 3 dziki i 9 lisów, a 4 dziki i 2 lisy przepuszczono bez strzału.

Słonki widziano prawie w każdym miocie i tylko dzięki temu, że myśliwi — w nadziei spotkania się z dzikami — stali przeważnie ze sztucerami w ręku, — uszły niestrzelane.

Tradycyjnym w Rudniku zwyczajem otrąbiano codziennie po ostatnim miocie pokot ubitej zwierzyny.

Wśród ciszy uroczego wieczoru rozlegały się rzewne tony trąbki, a następnie p. inż. Ryszard Bachman zdawał krótki raport — niby protokół z wymienieniem ostatecznej liczby ubitej zwierzyny.

Serdeczna staropolska gościnność kochanego Gospodarza i wielce czcigodnej Jego Matki trwać będą długo w naszej pamięci, opromieniając szarzyznę tak ciężkiego obecnie życia.

FELIX JORDAN STOJOWSKI.

— W majętności Dłoń, Wlkp., Ksawerowej ks. Druckiej-Lubeckiej, odbyło się dnia 7 grudnia ub. r. polowanie na zające. W sześciu kotłach, przy siedmiu strzelbach, a mianowicie: pp.: hr. Bnińskiej, książąt Olgierda Czartoryskiego, Jana i Ksawerego Druckich-Lubeckich, hr. Platera i Czarneckiego oraz barona Zedlitza ubito 802 zające. Najwięcej ubił Olgierd ks. Czartoryski.

— W Kluczewsku (pow. włoszczowski) u pp. Maksymiljanostwa Konarskich odbyło się w dniu 9 listopada 1935 r. polowanie, na którem ubito: 198 zajęcy, 147 królików, 65 kuropatw, 5 cietrzewi, 1 lisa i 4 różne — razem 420 szt.

W polowaniu udział brali pp.: Michał Boniecki, Tadeusz Janota Bzowski, Tadeusz Grabowski, Józef Janowski, Paweł Kozłowski, Stanisław Konarski, Adam hr. Łoś, Andrzejowa hr. Łosiowa, Andrzej hr. Łoś, Jan Bończa-Markowski, Józef Niemojewski, Konrad Niemojewski i Tadeusz Oskierko. Największy pokot zdobył p. Konrad Niemojewski, mając ubitych 70 szt.

Piękny dzień, doskonała organizacja i prawdziwie staropolska, serdeczna gościnność Gospodarzy — złożyły się na to, że uczestnicy polowania wywieźli z Kluczewska jak najmilsze wrażenia.

— W dniu 7 b. m. odbyły się polowania na terenach Brwilno i Korzeń. Na terenie Brwilna w 20 strzelb ubito 102 zajęcy, na terenie Korzenia w 18 strzelb ubito 63 zające, 25 królików i 3 bażanty.

— W dniu 14 b. m. również odbyły się dwa polowania. Na terenie Górki Dobrzykowskie ubito 69 zajęcy i 4 króliki. Na terenie Słupno polowano w 18 strzelb i ubito 201 zajęcy, 12 bażantów.

W polowaniu na Słupnie wzięli udział goście z Warszawy w osobach pp.: dyrektor Warszawskiej Dyrekcji Lasów Państwowych, Mickiewicz, dyrektor Siedleckiej Dyrekcji Lasów Państwowych p. Biluchowski, naczelnik Nagabczyński i prezes Wydziału Wykonawczego Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, p. Szperling.

Podczas śniadania p. prezes Szperling, po serdecznem przemówieniu, udekorował wieloletniego i zasłużonego na polu łowiectwa prezesa płockiego Towarzystwa Racjonalnego Polowania, p. Włodkowskiego, Złotym Medalem Zasługi Łowieckiej.

— Na dorocznem polowaniu na bażanty w dobrach Łochowskich p. Eryka Kurnatowskiego, które odbyło się w dniach 9-go i 10-go grudnia ub. r. ubito:

Pierwszego dnia — Zwierzyniec Zawiszyn: 23 zające, 1240 bażantów, 12 kuropatw. Razem 1275 sztuk.

Drugiego dnia — „Biały Ług": 123 zające, 610 bażantów, 11 kuropatw. Razem 744 szt. Ogółem za rwa dni 2.019 sztuk.

Z powodu mokrego roku zwierzyna ucierpiała, przez co rezultaty były gorsze, niż przeszłego roku.

WYPADKI NA POLOWANIACH.

(—zet—) „Kurjer Warszawski" doniósł, że na polowaniu u ks. Lubomirskiego w Hodorowie, zdarzył się w dniu 8 ub. m. nieszczęśliwy wypadek. Sam gospodarz, strzelając do rogacza, trafił w głowę naganiacza, którego stan odrazu nie budził nadziei utrzymania go przy życiu.

Bliższych szczegółów w tej sprawie nie posiadamy.

*

(—zet—) W dniu 10 ub. m. podczas polowania w lasach kudelskich na Wileńszczyźnie wydarzył się nieszczęśliwy wypadek postrzelenia jednego z myśliwych, Jana Mroczkowicza, mieszkańca zaścianka Mironowicze.

Mroczkowicz został postrzelony ciężko w bok przez sąsiada, Mateusza Pietkuna, który strzelał do zająca. Rannego odwieziono natychmiast do szpitala, sprawcę postrzału zatrzymano do wyjaśnienia przebiegu wypadku.

Bliższych okoliczności wypadku, „Dziennik Wileński", który tę wiadomość zamieścił, nie podaje.

*

(—zet—) Mieszkaniec wsi Grebło, gminy Kolepszczyzna na Wileńszczyźnie, Piotr Poczotno, podczas uprawiania kłusownictwa postrzelił zająca, którego usiłował dobić kolbą swej strzelby.

Nabita drugim nabojem broń, niezabezpieczona do tej operacji, wypaliła, a nabój ugodził Poczotnę w brzuch. Przewieziony do szpitala w Łaszczkach, Poczotno zmarł podczas operacji.

SPROSTOWANIE.

Niniejszym prostujemy omyłkę, jaka się wkradła do tablicy oceny rosoch łosi, ubitych na rykowisku 1935 r. („Łow. Pol." Nr. 36 z 1935 r.) i w podpisie pod fotografją rosoch, zdobytych przez p. J. Zaborowskiego.

Łoś ten ubity został na rykowisku w maj. Byteń.

Również w tablicy mylnie podano nadl. Wiado, jako miejsce zabicia łosia przez p. T. Lilpopa. Właściwą miejscowość nazwano w podpisie na okładce.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁAD BRONI i FABRYKA AMUNICJI

W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17.

Oddziały: Poznań Br. Pierackiego 12, Lwów Plac Marjacki 4, Wilno Wileńska 10.

Poleca: duży wybór strzelb myśliwskich, karabinków i pistoletów pierwszorzędnych fabryk, oraz naboje śrutowe, pistoletowe, rewolwerowe, sportowe kal. 22 i śrut w najlepszym gatunku — własnego wyrobu,

Warsztaty rusznikarskie pod kierownictwem wykwalifikowanych majstrów w Centrali i Oddziałach.



Egz. od 1861 r.

Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI w Warszawie
sp. z o. o.
Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:

G. Defourny-Sevrin à Liege
A. Forgeron „
A. Francotte „
Lepage „

Sztucery, Trójlufki
G. Defourny-Sevrin à Liege
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne

Katalogi ilustrowane bezpłatnie.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę porąb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

POWSZECHNIE PANUJĄCY

Zanik Radości Życia

nie zagraża tylko bywalcom

WINIARNI ZIEMIAŃSKIEJ „CAVEAU CAUCASIEN",

gdzie przy czarownych pieniach romansów cygańskich w wykonaniu CHÓRU BOJANÓW i przepięknej rewji artystycznej panuje beztroski humor.

Znakomite kolacje klubowe z 3 dań — 2.50.
Dancing do rana.

OGŁOSZENIA DROBNE

Administracja Dóbr Zielona Dąbrowa, poczta Juljanka, stacja kol. Potok Złoty, sprzedaje żywą zwierzynę (zające, bażanty, kuropatwy). Cenniki na żądanie.

Bażanty, kuropatwy, dzikie króliki, oraz rośliny pastewne dla zwierzyny i sadzonki leśne, poleca **Zarząd Lasów XX. Czartoryskich,** Nadleśnictwo Babki, poczta Krzesiny, Wielkopolska. Prosimy żądać bezpłatnych cenników.

Dom. Sokołowo, poczta Golub poszukuje od 1 marca 1936 roku specjalistę bażantarnika pojedyńczego, mogącego się wykazać dobremi świadectwami, — warunki: pełne utrzymanie z niewielką pensją i procentem od wychowanego bażanta, oraz strzałowe.

Kupuję żywe bażanty, kuropatwy, zające (siecie łowne na życzenie), sarny, jelenie, rogi jelenie, i t. p. oraz oczekuję ofert (możliwie w języku niemieckim) z podaniem ceny pod adresem: Noack Fasanerie, Gross-Saerchen, Kreis Sorau Deutschland. Stałe sposobności zamiany zwierzyny, także angielskich bażantów pełnej krwi oraz produktów niemieckich.

Ochronę zwierzostanu, tępienie szkodników łowiectwa dorywczemi wyjazdami kilku poważniejszych Kół Myśliwskich, względnie właścicieli terenów — przyjmie na skromnych wymaganiach Marcin Andrzejewski, zawodowy myśliwy Pogorzel koło Mińska Mazowieckiego.

Poszukuje terenu łowieckiego w pobliżu Warszawy o dobrym zwierzostanie (**kaczki**, kuropatwy, zające, **kozły**). Oferty składać w Administracji Łowca Polskiego pod „Ambasada".

Pointry szczenięta po doskonałej suce Splendor-Warta i Marbiel-Gryf. 4 psy 2 suczki po zł. 100.—. H. Grodzki, Madalińskiego Nr. 25 m. 4, telefon 8.54-85.

Sprzedamy dla celów hodowlanych: dzika-maciorę i sarnę, zgłoszenia Leśnictwo Synkowickie poczta Słonim.

Szczenięta — wyżły 5-cio tygodniowe bardzo ładne do sprzedania. Wiadomość: ul. Widok Nr. 16 m. 26. Telefon 666-43.

Żywe zające dla odświeżenia krwi w kompletach 1 samiec i 2 samice po cenie 48 zł. za komplet plus 1 zł. od sztuki za opakowanie. Sprzedaje Zarząd Miejski w Toruniu.

BACZNOŚĆ NA ADRES

WYPRAWA i farbowanie FUTER SYSTEMEM LIPSKIM

Farbuje: lisy na kolory; **szare,** bronz i alaska. **Tumaki, nurki, skunksy, sobole** przyciemnia **na kolory naturalne.** Przyjmuje również wszelkie roboty w zakres **kuśnierstwa, wchodzące.**

PIERWSZA WARSZAWSKA
FARBIARNIA I WYPRAWA FUTER oraz PRACOWNIA KUŚNIERSKA
Warszawa, Długa № 10 (w podwórzu). vis à vis Ministerstwa Sprawiedliwości. **Telefon 11-32-39**

Uwaga! Myśliwym 30% taniej.

SOLIDNA ROBOTA

FAŁATA

ALBUM BARWNYCH REPRODUKCYJ SCEN MYŚLIWSKICH, WYKONANYCH PRZEZ ZAKŁADY GRAFICZNE „SZTUKA" W POZNANIU (WYMIARU 28x45 cm), ZAWIERAJĄCY 8 PLANSZ (AUTOLITOGRAFIJ) DO SPRZEDANIA.

W CENIE ZŁ. 5.—

ZAMÓWIENIA PRZY JEDNOCZESNEM PRZEKAZANIU GOTÓWKI NA RACHUNEK P.K.O. Nr. 8.082 PROSIMY KIEROWAĆ DO ADMINISTRACJI „ŁOWCĄ POLSKIEGO" Z DOLICZENIEM ZA PRZESYŁKĘ POCZTOWĄ Zł. 1.—.